

# GOMULICKI WIKTOR TEOFIL

WSPOMNIENIA  
NIEBIESKIEGO  
MUNDURKA

Gomulicki Wiktor

**Wspomnienia niebieskiego mundurka**

«Public Domain»

## **Wiktor G. T.**

Wspomnienia niebieskiego mundurka / G. T. Wiktor — «Public Domain»,

Wspomnienia niebieskiego mundurka to powieść autorstwa Wiktora Gomulickiego osadzona w realiach XIX-wiecznej Polski. Autor opisuje rzeczywistość ówczesnej szkoły powiatowej dla chłopców w Pułtusku, ukazuje również ich pozaszkolne życie i rozterki. Gomulicki zwraca uwagę na realia społeczne, problemy przystosowania się uczniów pochodzących z różnych warstw społecznych, relacje zachodzące w klasie, różnych nauczycieli i podejście do nauczania, a także sposoby spędzania wolnego czasu, zabawy, rozterki i dylematy młodzieży tamtych czasów. Wspomnienia niebieskiego mundurka są bardzo cennym obrazem życia młodych ludzi w XIX wieku. Zainteresuje i dorosłych, i dzieci ze względu na ciekawe i pełne humoru, ale także wzruszające przedstawienie tak odległych lat.

© Wiktor G. T.

© Public Domain

## Содержание

Od autora	6
I. Dzwonek szkolny	9
II. „Knot”	13
III. „Zabacuł”	18
IV. Prymus-lizus	24
V. O chłopcu, co sypiał w trumnie	30
VI. Artyści klasowi	34
VII. Nauczyciel starej daty	39
Конец ознакомительного фрагмента.	43

# Wiktor Gomulicki

## Wspomnienia niebieskiego mundurka

*Pamięci Bronisława Dembowskiego, towarzysza lat chłopięcych,  
urodzonego w Pułtusk, zmarłego w Zakopanem, te wspomnienia dni razem  
przeżytych poświęcam*

**W. G.**

## Od autora

Największą dla piszącego pociechą, a częstokroć i jedyną za pracę nagrodą, jest przeświadczenie, że jego książka zdobyła sobie życzliwość czytelników i w sercach ich przyjazne zbudziła echo.

Tej pociechy doświadcza i tą nagrodą szczyści się autor *Wspomnień Niebieskiego Mundurka*, przygotowując do druku **trzecie** swej pracy wydanie.

Radość największą sprawia mu myśl, że oto, dzięki serdecznej nici, nawiązanej pomiędzy autorem a czytelnikami zatarła się – przynajmniej ideowo – różnica dzieląca młodzież dzisiejszą od tamtej, która żyła, ślęczała nad książkami, swawoliła i pierwszych trosk o przyszłość swą doświadczała przed laty kilkudziesięciu.

Gdy *Wspomnienia* ukazały się po raz pierwszy, młode pokolenie uczących się przygniatała jeszcze groza tylko co minionej epoki apuchtinowskiej<sup>1</sup>. Mimo że cisnąca nas wszystkich obręcz już się wówczas cokolwiek rozluźniła, nie można jeszcze było z zupełną swobodą kształcić się, mówić, myśleć, a co najważniejsze: postępować po polsku.

Książkę przyjęto życzliwie, jako echo dni minionych i jako zwiastuna dni spodziewanych. Młodzież dowiadywała się z niej: jak to szkoła polska wyglądała, gdy Hurków, Hurkowych i Apuchtinów<sup>2</sup> **jeszcze nie było**; tworzyła też sobie na jej podstawie obraz jutra, w którym tej zniechęconej zgrai rusyfikacyjnej **już nie będzie**.

Niebo nad Polską różowiało – jednak dzień wyglądzany długo się nie ukazywał, budząc w sercach i umysłach dręczący niepokój. I bywały chwile, gdy w dusze padał lęk, że może wschodu słońca nie doczekamy...

W innych warunkach ukazuje się niniejsze *Wspomnień Niebieskiego Mundurka* wydanie. Zorza wolności rozpostarła się szeroko nad naszymi głowami – wybuchu słonecznego blasku spodziewamy się lada dzień, lada chwila...

Być może, iż gdy ta książka rąk waszych dojdzie, już słońce będzie stało wysoko, a jego promienie będą oświecały wolną, zwycięską, tryumfującą Polskę od końca do końca!

Zmienione warunki pozwoliły autorowi do serii obrazków składających się na *Wspomnienia* wsunąć jeden jeszcze, na który w wydaniach poprzednich miejsca nie było.

Obok profesorów łaciny, francuszczyzny itd. ukazuje się w tym nowym wydaniu nauczyciel języka rosyjskiego, wiernie z natury odmalowany. Niepodobny on zgoła do sprzedajnych<sup>3</sup> rusyfikatorów, katów dzieci i młodzieży, wampirów już nie tylko krew, lecz i dusze z ofiar swych wypijających, których wspomnienie dotąd jak zmora ciąży nad nami.

Jest i ów Jastrebów ofiarą – i ginie śmiercią niemal samobójczą, przeżarty melancholią oraz dziwnym, chorobliwym marzycielstwem. Nie budzi nienawiści, raczej – politowanie.

Mówiąc o swej książce i jej losach, nie mogę przemilczeć faktu, że do powodzenia *Niebieskiego Mundurka* przyczyniły się w znacznym stopniu przepiękne rysunki, którymi ozdobił go p. Konstanty Gorski. Moją wizję ludzi i spraw dawno zmarłych ucieleśnił on z odgadnioną<sup>4</sup> intuicyjnie prawdą,

---

<sup>1</sup> *epoka apuchtinowska* – tzw. noc apuchtinowska, polityka rusyfikacji wprowadzona w Królestwie Polskim po upadku powstania styczniowego. Pomysłodawcą tej polityki był Aleksandr Apuchtin, rosyjski kurator warszawskiego okręgu szkolnego. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> *Hurków, Hurkowych i Apuchtinów* – Josif Władimirowicz Romejko-Hurko (1828–1902), feldmarszałek rosyjski, w latach 1883–1894 generalny gubernator warszawski, zaciekle rusyfikator (wprowadził jęz. rosyjski do sądów, urzędów i szkół); Aleksandr Lwowicz Apuchtin (1822–1904), rosyjski kurator warszawskiego okręgu szkolnego w latach 1879–1897, twórca zrusefikowanego systemu szkolnictwa w Królestwie Polskim. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> *przedajnych* – dziś popr.: sprzedajnych. [przypis edytorski]

<sup>4</sup> *odgadnioną* – odkrytą. [przypis edytorski]

która mnie samego w podziw wprawiła. Do takiego wmyślenia się i wczucia w cudzą duszę zdolni są tylko wielkiej miary artyści.

**Wiktor Gomulicki**

Warszawa, w czerwcu 1918 r.

—

Ze starego kufra dzieci wyciągnęły i ojcu przyniosły kołnierz z sukna niebieskiego, oszyty<sup>5</sup> srebrzystą tasiemką.

– Co to, tatusiu?... Od czego to?... Skąd się to tam wzięło?...

Ojciec wziął w ręce wąski, wypłowiwały pasek, do oczu go przybliżył – długo wpatrywał się weń w milczeniu...

Ciekawość dzieci jeszcze bardziej wzrosła.

– Tatusiu kochany! – Niech nam tatuś powie!... My koniecznie chcielibyśmy się dowiedzieć!...

Ojciec przesunął ręką po oczach – może mu się czym zaprószyły? – Potem westchnął głęboko i rzekł drżącym głosem:

– To jest kołnierz od mojego mundura<sup>6</sup>...

– Od mundura? – zdziwił się najmłodszy synek – To tatuś był w wojsku?...

– Od mego mundura szkolnego!

Dwaj starsi chłopcy wystąpili z opozycją.

– To być nie może! Żadna szkoła nie nosi mundurów niebieskich ze srebrnym oszyciem.

Przecież znamy wszystkie: rządowe i prywatne.

– Nie noszą dziś – nosiły pomiędzy rokiem 1860 a 1870, to jest wówczas, gdy wasz ojciec był takim, jak wy, uczniakiem...

Chłopcy wrywali sobie kołnierz, przyglądając mu się z nadzwyczajnym zajęciem<sup>7</sup>...

– To musiały być ładne mundury?... – zauważył najstarszy.

– Ładne. Skrajane „do figury”, zapinane na jeden rząd srebrnych, gładkich guzików, z małymi guziczkami przy rękawach. Czapki zaś były formy francuskiej, również niebieskie, z białą wypustką, z prostym daszkiem – takie, jakich dotąd wojsko francuskie używa.

– To musiały być **kiepy!** – wyrwał się najmłodszy chłopiec, pierwszoklasista. – Nosili je „górale”.

– Jacy „górale”?

– No, wie tatuś: te sztubaki od Górskiego<sup>8</sup>!

– Takie czapki nie nazywają się **kiepy**, lecz **kepi**. Tamte różniły się od dzisiejszych tym, że były miękkie i dawały się najrozmaiciej na głowie układać. Przywdziewał je też każdy inaczej – nieraz bardzo fantastycznie.

Chłopcy starali się wyobrazić sobie, jak wyglądał ich ojciec w niebieskim **kepi**. Ale trudno im było przedstawić go sobie bez wąsów, z gładką, rumianą twarzą, bez siwiejących na skroniach włosów...

Ojciec tymczasem nie przestawał wpatrywać się w wypłowiwały kołnierz, oczy zaś jego musiały być wciąż zaprószone, bo je przecierał nieustannie, najpierw dłonią, później chusteczką...

Nagle szepnął z nowym westchnieniem:

– Ach, gdyby ten kołnierz umiał mówić!...

– To co?... to co, tatusiu?... – wykrzyknęli pytająco wszyscy trzej chłopcy.

– To opowiedziałby wam swoje wspomnienia, które by was niezawodnie zajęły...

---

<sup>5</sup> *oszyty* – dziś popr. *obszyty*. [przypis edytorski]

<sup>6</sup> *mundura* – dziś popr. forma D. lp: *munduru*. [przypis edytorski]

<sup>7</sup> *zajęcie* – tu: zaciekawienie. [przypis edytorski]

<sup>8</sup> *sztubaki od Górskiego* – uczniowie szkoły realnej założonej w 1877 w Warszawie przez pedagoga Wojciecha Górskiego (1849–1935). Od 1883 r. szkoła mieściła się przy ul. Hortensji, dziś ul. W. Górskiego. [przypis edytorski]

- Ba!... – westchnął smutno średni chłopiec – nie tylko kołnierz, ale nawet cały mundurek tej sztuki nie dokáže...
- Ale może dokazać jej tatuś, który w tym mundurku chodził! – osądził spokojnie najstarszy. Ojciec przygarnął do siebie swą „trójkę hultajską”.
- Więc ciekawiście naprawdę „wspomnień niebieskiego mundurka?”...
- Jeszcze jak, kochany tatusiu!... Zaraz byśmy siedli i słuchali...
- No, to wam je opowiem. Albo lepiej – po namyśle dodał – napiszę.
- ...Z tej rozmowy i z dotrzymanego przez ojca przyrzeczenia powstały poniższe obrazki.

## I. Dzwonek szkolny

– Dendele!... dendele!...

Miasteczko<sup>9</sup> śpi jeszcze, nakryte mgłą, jak pierzyną. Godzina zaledwie siódma. W końcu października nie wszyscy o tej porze wstają do pracy, czynią to tylko ci, co muszą: rzemieślnicy, sługi, uczniowie.

Głos dzwonka z trudnością przedziera się przez mgłę. Jednak dolatuje gdzie trzeba. Świadczą o tym migające tu i ówdzie w oknach blade płomyki świec – łojowych. Stearyny oszczędni obywatele używają tylko „od wielkiego dzwonu”: szkoda jej dla dzieciaków, które w tej chwili z pośpiechem nadzwyczajnym parzą sobie usta gorącą kawą, wpychają do tek książki, jabłka, kajety<sup>10</sup> i obwarzanki, „przepowiadając” jednocześnie na cały głos: katechizm, gramatykę polską, deklamację łacińską i geografię.

– Dendele!... dendele!... dendele!...

Dzwonek odzywa się to głośniejsz, bardzo głośno nawet, jakby krzyczał na opieszających z gniewem i niecierpliwością; to znów ciszej, nawet zupełnie cicho, jakby mu sił brakło lub sam w drzemkę zapadał...

W szarym świetle poranku przebiegają w różnych kierunkach, z koszykami i bez koszyków, boso i w przydeptanych pantoflach, rozczochrane, na pół senne służące.

– Kasiu! czy to **ju** drugi raz dzwonili?

– Nie, **dopiru** pierwszy.

– Nie gadaj! – tociem na własne uszy słyszała...

– Słyszałaś, ale **segnaturkę**<sup>11</sup> u **refermatów**<sup>12</sup>.

– Śpieszajta! paniczowi **bułków** na gwałt trzeba!

– Ojoj! wielka rzecz! Może zaczekać. **I tak** Judkowa jeszcze nie upiekła.

– Upiekła. Lećta duchem do Żydówki.

– Na jednej nodze!

– Jak **bocion!**

Kilka dziewczuch pędzi w stronę wąskiej uliczki, zamieszkałej przez Żydów. Jest tam jeden mały, krzywy, w ziemię zasunięty domek, nad którym zawsze o tej porze unosi się, to prosta jak obelisk, to maczugowato u góry rozszerzająca się, to rozprysnięta, jak fontanna, to spiralnie skręcona, to wreszcie jakby przełamana i w dół spadająca kolumna burego dymu. W tym domku mieszka Judkowa, główna karmicielka „studentów”, których nazywa „skubentami”, najpierwsza na całe miasteczko obwarzankarka, przez nikogo nie prześcignięta twórczyni obwarzanków „groszowych”, „plecionych”, „jajecznych” oraz „chał<sup>13</sup>”, „makagig<sup>14</sup>” i słodkich „mac”, cynamonem osypywanych.

– Dendele!... dendele!... dendele!...

Po pięciominutowym odpoczynku dzwonek, z nową siłą i z wyraźną już złością, krzyczy na spóźniających się. Krzyczy długo, zajadle – potem w największym paroksyzmie gniewu urywa w jednej chwili, jak człowiek, który głośno i namiętnie spierając się, nagle machnął ręką, odwrócił się – odchodzi...

Kto mowę dzwonek rozumie, w tym dzwonieniu słyszał wyraźnie:

---

<sup>9</sup> *miasteczko* – Wiktor Gomułcki opisuje tu Pułtusk, w którym spędził dzieciństwo. [przypis edytorski]

<sup>10</sup> *kajet* (daw.) – zeszyt. [przypis edytorski]

<sup>11</sup> *segnaturka* – własc. sygnaturka, najmniejszy dzwonek kościelny. [przypis edytorski]

<sup>12</sup> *refermacy* – własc. franciszkanie reformacy, odłam obserwancki (tj. ściślejszej reguły) w ramach Zakonu Braci Mniejszych; w Polsce od 1622. [przypis edytorski]

<sup>13</sup> *chała* – bułka pszenna wypiekana przez Żydów na święta. Pochodzi od niej chałka, podłużna, słodka bułka z pszennego ciasta zaplconego w warkocz. [przypis edytorski]

<sup>14</sup> *makagiga* – ciastko z masy karmelowej, miodu i maku, z dodatkiem orzechów i migdałów. [przypis edytorski]

– Nuże, leniuchy, ospalcy, próżniaki! Czyż się was dziś nie dowolałam? Piersi zrywam, serce ledwie mi nie pęknie, a wy nic! Śpiesznie, rzucajcie wszystko, przybywajcie, bo inaczej... Zresztą – jak się wam podoba! Możecie zwlekać, spóźniać się, nawet wcale nie przychodzić... Nic mi do tego. Ale wiedźcie, że was czeka „pałka” z pilności, zamknięcie w ciemnej izbie przy kancelarii, rozmowa w cztery oczy z inspektorem, ze stróżem, może nawet wysyłka bezterminowa „na grzyby”... W końcu – dajcie mi pokój<sup>15</sup>. Mam was dosyć!

Na ulicach zaniebyszczło się od mundurków granatowych. Z kamienic i kamieniczek, z drewnianych, oparkanionych<sup>16</sup> dworców, z klatek ledwie kupy się trzymających, wybiegają malcy i wyrostki. Podążają w jedną stronę, potracając się, wyścigając.

Na rogu ulicy dwóch się spotkało – przez resztę drogi biegną obok siebie cwałem, rzucając słowa oderwane...

– Te, Gęba!

– A co?

– Słyszałeś dzwonek?

– Aha!

– To ci dopiero był zły!

– Iii... głupstwo!

– Nie gadaj! Ja się znam na dzwonku!

– Więc cóż?

– Inspektor pewnie się wścieka...

Już nie biegną, ale pędzą. Dobiegli zdyszani do szkoły. Ledwie wśliznęli się na korytarz, kulawy Szymon zatrzasnął za nimi z łoskotem ciężkie, okute drzwi, wiodące razem do szkoły i do klasztoru.

Mają tylko tyle czasu, ile trzeba na zrzućcie płaszców, zawieszenie czapek na kołkach, wsunięcie tek we właściwe przegródki.

Już w długim korytarzu, łączącym szkołę z kościołem, formują się pary. Pierwsza klasa w samych mundurkach, z gołymi głowami, stoi gotowa do marszu; druga klasa wysypuje się na korytarz; trzecia wychyla się z otwartych drzwi, czekając na swą kolej; czwarta, bez zbytecznego pośpiechu, szykuje się do wyjścia; piąta – same filozofy z rękoma w kieszeniach, z golonymi szczyrykiem brodami – wygląda przez okna obojętnie, po stoicku<sup>17</sup> poświstując lekko, jakby jej ten ruch wcale nic dotyczył.

Profesor Salamonowicz, ruchliwy, nerwowy, biegnie szybko w prawo i lewo, na górę i na dół, do wszystkich klas zaglądając, do pośpiechu nagłąc. Profesor Izdebski, poważny, zatabaczony<sup>18</sup>, w granatowym fałdzistym, szeroko rozpostartym płaszczu z peleryną, z podciągniętymi wysoko, dla oszczędności, nogawicami, sunie środkiem korytarza, między dwoma rzędami mundurków, kołysząc się lekko na dużych, płaskich stopach, w obuwiu z grubej, juchtowej<sup>19</sup> skóry, ze startymi doszczętnie napiętkami<sup>20</sup>. Nosowym, przyciszonym głosem strofuje malców, rzucając im co chwila swe ulubione hasło:

– Bacność!... uwaga!...

W kilka chwil później, długim, półciemnym korytarzem, na kształt długiej, niebieskiej, o srebrnych cętkach liszki<sup>21</sup>, posuwa się cała szkoła, szeleszcząc rytmicznie stopami. Wpłynęła bocznym wejściem do kościoła i skupiła się w prawidłowych czworobokach tuż przy prezbiterium<sup>22</sup>,

---

<sup>15</sup> *pokój* – tu w znaczeniu: spokój. [przypis edytorski]

<sup>16</sup> *oparkanionych* – ogrodzonych; *parkan* – ogrodzenie, zwykle drewniane. [przypis edytorski]

<sup>17</sup> *po stoicku* – niezachwianie, ze spokojem. [przypis edytorski]

<sup>18</sup> *zatabaczony* (daw.) – niechlujnie wyglądający; zabrudzony tabaką. [przypis edytorski]

<sup>19</sup> *jucht* – wyprawiona skóra bydlęca. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *napiętek* – tylna część buta osłaniająca piętę. [przypis edytorski]

<sup>21</sup> *liszka* (pot.) – gąsienica. [przypis edytorski]

<sup>22</sup> *prezbiterium* – część kościoła, w której znajduje się główny ołtarz. [przypis edytorski]

dla wysłuchania „mszy studenckiej”, odprawianej przy wielkim ołtarzu codziennie, z wyjątkiem miesięcy zimowych, przed lekcjami.

Pod wysokim sklepieniem, w zagłębieniach ołtarzy, na chórze, zawsze pełnym mroku, czają się jeszcze resztki nocy i snu. „Nowozacieżnym” pierwszoklasistom, niewyzwolonym całkowicie z dziecinnych, domowych przyzwyczajęń, kleją się jeszcze oczy. Ale zabłysnęły w ołtarzu światła, ozwał się miły głos księdza prefekta: „*Introibo ad altare Dei*”<sup>23</sup>, trzecioklasista w białej komeżce, służący do mszy, uderzył mocno w dzwonek, zagrzmiął z góry akord organowy – noc i sen pierzchają pokonane...

W poważnym milczeniu szli uczniowie na mszę; powracają z gwarem głośnym, który głucho tętni pod niskim sklepieniem korytarza. Szybko zajęli swe miejsca, rozkładają hałaśliwie książki i kajety. Każda klasa zmienia się na chwilę w ul brzęczący. Potem wchodzi nauczyciele – wszystko zapada w ciszę. Rozpoczyna się pierwsza lekcja, „od ósmej do dziewiątej”.

Dzwonek spełnił, co do niego należało. Kilku maruderów pozostało za drzwiami, ale dwustu kilkudziesięciu chłopców klęczy przykładnie w ławkach, powtarzając zmieszonym chórem: „Przyjdź, Duchu Świąty, napełnij serca nasze...” Zaraz potem, na dole i na górze, spoza drzwi zamkniętych dochodzą stłumione głosy nauczycieli, mocniejszy od innych wywołuje donośnie:

– Bagiński, Batogowski, Bellon, Brudzyński, Ciaputowicz, Dąbrowski, Dembowski, Demianowicz, Elżanowski, Gadomski, Gembarzewski, Gomulicki...

Dzwonek zrobił swoje – teraz może odpoczywać do godziny drugiej, o której znów będzie wzywał niesformą gromadkę na dwie lekcje poobiednie. Odpoczynek dłuższy, prócz świąt, „galówek” i ferii, miewa jeszcze we środy i w soboty. W te dni dzieci nie przychodzą już po obiedzie do szkoły.

Pocziwy, czujny, niezmordowany dzwonek! Ileż pokoleń budzi wytrwale z gnuśnego lenistwa do modlitwy i nauki, dwóch największych skarbów życia, bez których nie można ani szczęścia zdobyć, ani zostać człowiekiem w pełnym tego słowa znaczeniu!

Mieszka ten dzwonek wysoko, na jednej z wież kościoła, dziś benedyktyńskiego, a który wcześniej, przez dwa stulecia blisko służył jezuitom. Kto ma dobre oko, dojrzeć go może w dzień jasny przez jedno z wąziutkich, do strzelnic podobnych okienek. Jest wysmukły, jak kleryk w obcislej sutannie, a od starości już nie zielony, lecz czarny. Przypomina kruką, dożywającego dni swych w niedostępnym gnieździe.

Kto wie, czy nie ten sam dzwonek przed dwustu kilkudziesięciu laty budził i do rzeczywistości przywoływał pewnego, skłonnego do marzeń, zawsze zamyślonego młodzieńcyka, owego małego z ostrym, wyrazistym profilem „Matyjaszka”, z którego wyrosnąć miał głośny na całą Europę Mateusz Sarbiewski<sup>24</sup>?

Kto wie, czy rzeźki i skoczny rytm tego dzwonka nie rozweselał ongi<sup>25</sup> uszów księdza Piotra Skargi<sup>26</sup> i księdza Jakuba Wujka<sup>27</sup>, którzy w tych murach długie chwile przemodlili i przemysłili?...

To pewne, że widuje się niekiedy starców drżących, którym się „na drugie stulecie zabiera”, jak dzwonek ów usłyszawszy, stają w miejscu, prostują się i szyję wyciągają, niby wierzchowiec kawalerski na głos trąbki wojskowej. Potem uśmiech rozszerza ich szczęki bezzębne, w przygasłych oczach żywy płomień błyska. Machając rękoma, niby ptaki ciężkie, silnym rozmachem skrzydeł

---

<sup>23</sup> *Introibo ad altare Dei* (łac.) – Przystąpię do ołtarza Pańskiego. [przypis edytorski]

<sup>24</sup> *Mateusz Sarbiewski* – Maciej Kazimierz Sarbiewski (1595–1640), jezuita, profesor Akademii Wileńskiej, nadworny kaznodzieja króla Władysława IV. Jeden z największych europejskich poetów barokowych. (W XVI w. imiona Maciej i Mateusz nie były jeszcze w polszczyźnie rozróżniane). [przypis edytorski]

<sup>25</sup> *ongi* (daw.) – kiedyś. [przypis edytorski]

<sup>26</sup> *Piotr Skarga* – właśc. Piotr Powęski herbu Pawęża (1536–1612), polski teolog, pisarz, jezuita, nadworny kaznodzieja Zygmunta III Wazy, pierwszy rektor Uniwersytetu Wileńskiego. [przypis edytorski]

<sup>27</sup> *Jakub Wujek* (1541–1597) – pisarz religijny, jezuita; twórca przekładu *Biblii* napisanego renesansową polszczyzną oraz tłumacz *Psalterza Dawidowego*. [przypis edytorski]

pomagające sobie do lotu – próbują biec na równi z uczniami w stronę gmachu szkolnego. Nogi im się splątały – przystają zdyszani...

– Nie zdążymy... – seplenią. – Ksiądz rektor znów nam złą notę postawi...

I pomarszczone ich twarze osmucają się tym samym wyrazem zmartwienia, jaki miały przed osiemdziesięciu kilku laty w podobnym wypadku...

Nie tylko ucząca się dziatwa, ale razem z nią jej ojcowie, dziadkowie i pradziadkowie słuchają dzwonka benedyktyńskiego, jak starego, dobrego przyjaciela i ochmistrza<sup>28</sup>.

Kto urodził się w miasteczku i kto w nim umiera, temu jest ten dzwonek nieodstępnym przez całe życie towarzyszem.

Więc być może nawet, że gdy w ciche, błękitne poranki głos dzwonka dopływa aż do krańców miasta, gdzie na zielonym wzgórzu ponad Narwią<sup>29</sup> szarzeją, bieleją i złoceniami migocą krzyże i kamienie nagrobne – dreszcz miły przenika prochy praojców, co tam od niepamiętnych czasów snem nieprzespanym zasypiają...

Na cmentarzu staje się prawie wesoło, gdy pomiędzy groby wpada w podskokach rześkie, pobudliwe, jakby roztańczone:

– Dendele!... dendele!... dendele!...

---

<sup>28</sup> *ochmistrz* (daw.) – urzędnik zarządzający dworem panującego lub magnata; opiekun dzieci na takim dworze. [przypis edytorski]

<sup>29</sup> *Narew* – rzeka przepływająca przez północno-wschodnią Polskę, nad Narwią leży Pułtusk. [przypis edytorski]

## II. „Knot”

– Proszę pana! Gdzie tu jest pierwsza klasa?

– To ci dopiero głupi! Stoi przed klasą i o klasę pyta!

Przy tych słowach zapytany, chłopiec jedenastoletni, ujmując za kołnierz pytającego, malca o rok niecały młodszego od siebie, i otworzywszy drzwi, wpycha go do środka. Malec wpada jak kartacz<sup>30</sup> na środek klasy, pełnej wrzasku, tupania nóg i nieopisanego zamętu. Ten hałas, w połączeniu z piaskiem, którym wysypano podłogę oraz zbyt długimi i zbyt szerokimi na „wyrast” uszytymi spodenkami, przyprawia go o utratę równowagi. Przewraca się, upuszczając tekę, z której wysypuje się trochę książek i wielka ilość „prowiantu”...

Sześćdziesięciu chłopców wybucha śmiechem i krzykiem. Malec podnosi się zaczerwieniony, kurzem okryty – do przewodnika swego się zwraca.

– Dziękuję panu! – mówi, kłaniając się pokornie.

Nowe śmiechy i krzyki.

Tamten pomaga mu wspaniałomyślnie zbierać książki, jabłka, serdelki; potem skierowuje<sup>31</sup> go pod ścianę i pcha przed sobą w stronę ostatnich rzędów ławek. Po drodze wybębnia mu pięścią marsza to na jednej, to na drugiej łopacie.

Znaleźli z trudnością wolne miejsce. Protektor sadza na nim protegowanego, objaśnia, gdzie się chowa teka, i przykazuje najsurowiej, żeby ławki nie rznął scyzorykiem, gdyż za to „biją”.

– A jak wejdzie inspektor, wstać, milczeć i słuchać.

– Dziękuję panu... – kłania się znów malec uprzejmie.

Tamten szczypie go w ramię ze złością.

– Nie nazywaj mnie, knocie, „panem”. W sztabie<sup>32</sup> nie ma żadnego państwa. Wszyscyśmy koledzy i kwita! Mów do mnie po prostu: ty.

– Dobrze, proszę... ciebie.

Malec jest zadowolony. Sadowi się wygodnie, uśmiecha sam do siebie. Zaraz też zanurza rękę do teki, wydobywa bułkę z serem, i zaczyna spokojnie zajadać, wodząc oczyma po ścianach i suficie. Towarzysze zdają się go mało obchodzić – oprócz tego, co go tu wprowadził, nazwał dwukrotnie „głupcem” i „knotem”, i dla którego uczuwa nadzwyczajną sympatię połączoną z szacunkiem.

– Musi to być jakaś „starsza osoba” – myśli, żałując, że go już nie ma przy sobie.

Tamten zaś nie może wytrzymać na jednym miejscu. Wszędzie go pełno. Przebiega z ławki do ławki, musztrując małych, zalęknionych nowicjuszów; jednym wskazuje miejsca, innym zapina guziki u mundurów, innym jeszcze podsuwa pięść pod brodę, zalecając, żeby się prosto trzymali. To znów wskazuje na katedrę<sup>33</sup>, przesuwając stolik, fotel, chusteczką kurz strzepuje. Za chwilę jest już przy tablicy, rysuje kredą olbrzymią głowę, ściera rysunek rękawem, a gąbką nos uciera – co wywołuje hałaśliwą wesołość w grupie przyglądających mu się malców. Wreszcie porzuca wszystko i przyskoczywszy do najbliższego towarzysza, zaczyna mocować się z nim, jak siłacz cyrkowy.

Z całego jego zachowania się widać, że uważa się w istocie za „starszą osobę”.

Jest zresztą w klasie kilku takich jak on. Odbijają od tłumu nieśmiały, niezgrabny, niemądrze uśmiechających się pierwszoklasistów wielką pewnością siebie, minami zuchowatymi, ciągłą gotowością do bójki. Tamci to niby nowozacieczni rekruci; oni – stara gwardia. Już byli w ogniu, już proch wachali. Znać to po ich twarzach, po mundurkach wytartych, po czuprynach, na których sterczą znamienne „wicherki”...

---

<sup>30</sup> *kartacz* – pocisk artyleryjski używany od XVI do połowy XX w. [przypis edytorski]

<sup>31</sup> *skierowyywa* – dziś popr. forma 3 os. lp. cz.ter.: skierowuje. [przypis edytorski]

<sup>32</sup> *sztaba* (daw.) – szkoła. [przypis edytorski]

<sup>33</sup> *katedra* – tu: podwyższenie, na którym stoi stół dla nauczyciela. [przypis edytorski]

Są to – drugorocznicy.

Każdy z nich z wyższością i lekceważeniem patrzy na „knotów”, co dziś, w pierwszym powakacyjnym dniu szkolnym, wypełnili klasę.

Szkoła nie jest wodą stojącą: przypomina raczej morze, które ma swe ciągłe, stałe przypływy i odpływy. Przy końcu każdego roku z piątej, najwyższej klasy odpływa nadmiar ruchliwej, niebieskiej fali, szukając dla siebie ujścia w gimnazjach gubernialnych, w kancelariach instytucji rządowych i prywatnych, na wsiach własnych lub cudzych, przy gospodarstwie. Początek roku wyrównywa<sup>34</sup> ubytek z nadpłatą. Z miasta i ze wsi, z domów urzędniczych i rzemieślniczych, z dworów, nawet z chat, słomą krytych, napływa świeża fala, szumna, hałaśliwa, nie umiejąca jeszcze posuwać się spokojnie równym, prawidłowo wykreślonym łożyskiem...

Boże! Jacyż są śmieszni ci nowicjusze w swych workowatych mundurkach, w za długich, zawiniętych u dołu spodenkach, z włosami spadającymi na ramiona lub przy samej skórze ostrzyżonymi (przy czym niewprawa ręka matki lub służącej usiała na ich głowach całe konstelacje gwiazd, słońce i księżyców), z wyrazem twarzy na pół wesołym, na pół płaczącym, z niespokojnymi palcami, które muszą nieustannie coś skubać, czegoś dotykać, po czymś bębnić...

Niektórym matki przypinały na tę uroczystość wielkie kokardy z kolorowej wstążki, wysuwające się spod kołnierza w sposób rażący. Zanim inspektor wyszarpienie i do kieszeni schować każe te „nadetatowe” dodatki, żartownisie szkolni (stara gwardia!) rzucają w nie czapkami wołając, że to... motyle, które nakryć, a potem na szpilkę wbić trzeba.

Pół biedy jeszcze z tymi, co przeszli przez bakalarnię<sup>35</sup>, gdzie nabrali choć cokolwiek szkolnej „tresury”. Ci umieją przynajmniej siedzieć prosto na ławce, patrzeć gdzie należy, obchodzić się porządnie z piórem i atramentem. Ale „wolontariusze”, przybywający wprost z dzieciennego pokoju, z izby czeladnej, z lasu, z pola, z podwórza wiejskiej zagrody, mogą zwierchników szkolnych o rozpacz przyprowadzić!...

Jeden podczas lekcji usiadł tyłem do nauczyciela. Drugi, znudzony wykładem, przeciąga się i na cały głos ziewa. Trzeci położył głowę na książce i zasnął. Czwarty wytknął dwa palce i z całą szczerością zwierza się nauczycielowi, że „okropnie chce mu się jeść”. Piąty, wywołany do lekcji, wstać nie może, gdyż... urwał mu się guzik od spodni.

Zwłaszcza pierwszego dnia przedstawia się to wszystko przestraszająco. Jakaś masa bezkształtna i bezkarna, której, zda się, żadna siła nie potrafi wtłoczyć w porządną, wychowawczą formę. Oczy stale roztargnione, niespokojne, biegające w prawo i lewo, jak u myszy schwytej w pułapkę; brzuchy wystające, piersi w tył cofnięte, ręce i nogi w ciągłych podrygach... Trzeba by geniuszu Napoleona I<sup>36</sup>, żeby z tej „ruchawki<sup>37</sup>” utworzyć porządne, prawidłowe kadry, posłuszne głosowi dzwonka, rozkazom inspektora, upomnieniom nauczycieli, szanujące powagę kulawego Szymona, nieopalaną zimną „kozy<sup>38</sup>”, brzeziniowych, giętkich, w wodzie deszczowej wymoczonych prętów...

W praktyce rzecz przybiera formy o wiele prościejsze<sup>39</sup>. Po okresie wrzenia, burzenia się, rozpryskiwania, który trwa krócej lub dłużej, nigdy jednak granic pierwszego szkolnego kwartału nie przekracza, wrzątek zaczyna z wolna stygnąć, i płynny, iskrami syjący metal układa się posłusznie w przygotowane zawczasu formy. Wybuchy fajerwerkowe zdarzają się i później niekiedy, ale już ogólnego porządku rzeczy nie są w możności<sup>40</sup> odmienić.

---

<sup>34</sup> *wyrównywa* – dziś popr. forma 3 os. lp cz.ter.: wyrównuje. [przypis edytorski]

<sup>35</sup> *bakalarnia* (daw.) – szkoła elementarna. [przypis edytorski]

<sup>36</sup> *Napoleon I* – Napoleon Bonaparte (1769–1821), francuski wódz i mąż stanu, cesarz Francuzów 1804–1814 i 1815 oraz król Włoch 1805–1814; tu: genialny strateg i przywódca. [przypis edytorski]

<sup>37</sup> *ruchawka* (daw. pot.) – rozruchy, niepokoje społeczne; tu: bezładny tłum. [przypis edytorski]

<sup>38</sup> *koza* – pomieszczenie, w którym zamykano niegrzecznych uczniów za karę; areszt. [przypis edytorski]

<sup>39</sup> *prościejsze* – dziś popr. forma M. lmn.: prostsze. [przypis edytorski]

<sup>40</sup> *nie są w możności* – nie mogą. [przypis edytorski]

Hałas nadzwyczajny, panujący dziś w klasie, stwierdza, że okres burzy trwa tu w całej pełni – ba! dopiero się rozpoczął...

Naszego malca jednak nic on nie obchodzi. Rumiany tłuścioszek, usadowiony wygodnie w jednej z oddalonych ławek, spożywa swój ser z bułką z takim spokojem, jakby znajdował się gdzieś na skraju lasu, pod kępą brzoź lub sosenek.

Nagle ktoś woła w pobliżu:

– Te, knot!...

Nie wiadomo skąd, malec odgaduje od razu, że to o nim mowa.

Zwraca się w stronę głosu, który płynie z wysoka, i widzi swego protektora, stojącego na wierzchu dwóch ławek, w postawie Kolosa Rodyjskiego<sup>41</sup>, z ręką przyjaźnie ku niemu wyciągniętą.

Nieprzełknięte jeszcze jedzenie nie pozwala tłuścioszkowi przemówić – oczyma tylko zapytuje: czego chcą od niego?

– Nazywam się Kozłowski Karol! – krzyczy miniaturowy kolosik. – A ty, knocie?

Malec zrozumiał, że tu idzie o rzecz ważną: o wzajemną rekomendację. Nie można jej uchybiać nawet wówczas, gdy się w tak niezwykłej formie odbywa. Więc, połykając z pośpiechem ser, najgłośniejsz jak może odpowiada:

– Moje nazwisko: Mieszkowski Piotruś!...

– Piotruś? – wrzeszczy tamten, starając się przekrzyczeć hałasujących w pobliżu kolegów. – Bardzo mi przyjemnie! Lubię pasjami Piotrusiów! Ściskam twą rękę, Piotrusiu!

Przy tych słowach, potrząsa kilkakrotnie dłonią w powietrzu.

W tejże chwili odwraca się, wymierza psztyczka w ucho najbliższemu koledze i zeskoczywszy, daje nurka pod ławkę.

Okrągłe oczy Piotrusia Mieszkowskiego wyrażają zachwyt. Jest dumny z posiadania tak dzielnego kolegi...

Hałas wzmagą się z każdą chwilą. Obawiać się można, że od grzmotliwego tupania zapadnie się podłoga, że szyby popękają od okropnego krzyku. Kładzie temu kres wejście inspektora.

Sama postać zwierzchnika i wyraz jego twarzy wzbudzają lęk. Niezbyt wysoki, ale gruby, z wielkim wystającym brzuchem, z dolną wargą wysuniętą, z wiecznym „marszem” na czole, przemawia krótko, głosem basowym, gniewnym.

Chłopcy nic prawie nie rozumieją z jego przemowy. Powtarza się w niej nieustannie: obowiązek... obowiązek... obowiązek... Piękne i wzniosłe słowo! – Ale żeby do umysłów dziecięcych trafiło, musi występować w towarzystwie słów innych: prostych, serdecznych...

W klasie staje się cicho – ale razem z ciszą pada na nią dziwna posępność. Iskrzące się wesołością oczy tracą nagle blask, z kilku piersi wydobywa się mimowolne westchnienie. Wszystkie twarze smutnieją.

Dzieci czują instynktem, że w ich życiu zaszło coś przełomowego. Bywaj zdrowa, swobodo ptaszęca! Bywaj zdrow, „śnie złoty! śnie na kwiatkach!” Pomiedzy dniem wczorajszym a dzisiejszym wyrósł nagle mur nieprzebyty, kamienny.

A na tym murze czernieje groźnie słowo: **Obowiązek**.

Ha, pogodzić się trzeba z koniecznością!... Dzieciństwo trwać wiecznie nie może; życia samą zabawą wypełnić niepodobna. Już ksiądz prefekt w swej pierwszej nauce moralnej wspominał, że za nieposłuszeństwo pierwszych rodziców cały rodzaj ludzki został skazany na pracę, że człowiek w ciężkim znoju chleb swój zdobywać musi...

---

<sup>41</sup> *Kolos Rodyjski* – jeden z siedmiu cudów świata starożytnego, olbrzymi posąg Heliosa na wyspie Rodos; wzniesiony z brązu 292–280 p.n.e. u wejścia do portu w celu upamiętnienia pomyślnej obrony miasta Rodos (304 p.n.e.) przed oblegającymi je wojskami Demetriosa I Poliorketesesa, zniszczony 224 p.n.e. podczas trzęsienia ziemi. W czasach nowożytnych wyobrażano sobie, że posąg stał w rozkroku nad wejściem do portu, a statki przepływały pomiędzy jego nogami. [przypis edytorski]

O Adamie! O Ewo! – Jakże was serdecznie te wszystkie niebieskie mundurki nienawidzą! O węzu, węzu przewrotny! Godny, żeby cię na środku klasy rozciągnięto i pozwolono kulawemu Szymonowi ćwiczyć aż do zdechnięcia!...

Po odejściu inspektora odbywa się pierwsza lekcja – potem druga. Ale są to lekcje tylko z nazwiska<sup>42</sup>. Co chwila coś je przerywa: to przychodzi nowy uczeń; to stolarz wnosi nową ławkę; to któryś z nauczycieli wypukuje kolegę „na minutkę”, która przeciąga się do całego kwadransa; to przybywa stróż szkolny z kartką od inspektora; to matka jednego z „knotów” przybiega zdyszana niosąc chleb z zimną cieleciną, którego „nieboraczek zabrać zapomniał, tak się **wyląkł** dzwonka – bo **toto** jeszcze małe, delikatne i nie przywykło”...

O dziesiątej zjawia się raz jeszcze inspektor i każe „knotom” iść do domu, nazajutrz zaś „punkt o siódmej” stawić się na mszę uczniowską, „nie spóźniając się ani na sekundę, gdyż punktualność to ich obowiązek, obowiązki zaś swe obowiązani są” itd.

Gdy Karol Kozłowski przeciska się przez zatłoczony niebieskimi mundurkami korytarz, rozdając na wszystkie strony ukradkowe kuksańce, psztyczki, „gruszki stolarskie” i uszczypnięcia – ktoś pociąga go nagle z całej siły za połę...

Ogląda się i spostrzega – Piotrusia.

– Lubisz orzechy? – pyta malec, z miną pełną zarazem uprzejmości i zakłopotania.

– Co nie mam lubić! – odpowiada tamten.

– To przyjdź do mnie. Mam cały worek.

– Oho! – A gdzie ty „stoisz”?

– U Wojcieszkowej, na Starym Mieście, **wpodle**<sup>43</sup> reformatów.

Piotruś wyraża się po prostu – cały jest pełen sielskiej prostoty. Czuć go bardziej dworkiem, niż dworem.

– Przyjdę! – zgadza się wyniośle Kozłowski i szybko odchodzi.

Ale niebawem znów go ciągną za połę.

– A co mi dasz za to? – dopytuje malec nie uważając sprawy za skończoną.

– Mam piłkę... Chcesz?

– Iiii... Pewnie **parcianka**.

– Nie, **włosianka**. Na wierzchu skóra prawdziwa.

– Eeee!... Taka to nie bardzo odskakuje.

Kozłowski, silnie już zirytowany, wybucha:

– Patrzcie go! Knot jeden! Chciałby pewnie **dętki** albo **lanki** za swoje głupie orzechy! Możesz je schować dla siebie. Ty jeszcze, kochanku, nie znasz Kozłowskiego. Ja wcale twoich orzechów nie potrzebuję!

Malec stoi przez kilka chwil w milczeniu.

Twarz jego wyraża zupełne ogłupienie.

– Jak nie, to nie! – przemawia wreszcie z flegmatyczną rezygnacją.

I przełożywszy tekę z jednej pachy pod drugą, odchodzi z wolna w swoją drogę.

Kozłowskiego zajęły tymczasem całkowicie wróble, których całe stadko zbiegło się do rozsypanego na ulicy obroku. Płoszy je swą teką, potem biegnie za spłoszonymi i pędzi je przed sobą, dopóki nie przefrunęły przez mur do ogrodu klasztorowego.

O Piotrusiu i jego orzechach zupełnie zapomniał.

Do domu ma blisko, ale jak zawsze, nie idzie doń prostą drogą. W jednym miejscu przystanął, żeby przypatrzeć się mularzom<sup>44</sup>, pracującym przy budowie nowej kamienicy; w innym, żeby wypytać

---

<sup>42</sup> *tylko z nazwiska* – tu: tylko z nazwy. [przypis edytorski]

<sup>43</sup> *wpodle* (dawn.) – obok, koło. [przypis edytorski]

<sup>44</sup> *mularz* (daw.) – murarz. [przypis edytorski]

przekupkę o cenę gruszek, jabłek, śliwek, pestek dyni i ziarn<sup>45</sup> słonecznikowych (kupować tymczasem nie chce – no i nie ma za co); w innym jeszcze, żeby postraszyć żydowskiego bachórka<sup>46</sup> i ucieszyć się, widząc jak pada, fikając gołymi, tłustymi nożynami...

Nie wiadomo jak i kiedy znalazł się na moście staromiejskim. Wsparł się obiema rękoma o poręcz – wzrokiem melancholijnym ściga przepływające pod mostem fale.

– Może wolisz miód? – odzywa się nagle za jego plecami głos dziecinny, nieśmiały.

Jednocześnie wychyla się do niego puciołowata, rumiana twarzyczka z błyszczącymi poczciwie oczyma.

To Piotruś, który od wyjścia ze szkoły nie porzucał swego protektora, łażąc za nim w odległości kilku kroków po uliczkach i zaułkach miasteczka...

Na wspomnienie o miodzie Kozłowski oblizuje się.

– A bo ty, knocie, masz miód?... – odzywa się sceptycznie.

– Mam cały garnek.

– Nie gadaj!

– Jak Bożię kocham!

Kozłowski posepnieje.

– Ba! Cóż z tego! – mówi, na wodę patrząc. – I tak wiem, że mi nie dasz!...

– Dam, tylko przyjdź do mnie.

– Naprawdę dasz?

– Co nie mam dać! I orzechów dołożę.

Oczy Kozłowskiego nabierają nadzwyczajnego blasku. Błogo uśmiechnięty, rozrzewniony i oblizujący się, wpatruje się w malca, jakby nacieszyć się nie mógł jego widokiem.

– Kiedy tak – wybucha wreszcie – to... będę twoim przyjacielem!

– A ja twoim – jeżeli pozwolisz.

– Pozwolę!

Biorą się za ręce, potem za szyję i głośno, serdecznie się całują.

– Przyniosę ci „gumy strzelającej” – dodaje rozrzewniony Kozłowski.

Znów się całują.

– I trociczek!

Ponawiają uściski.

– I wiesz co? – oświadcza na zakończenie starszy. – Nie nazywaj mnie odtąd Kozłowskim...

– A jak?

– Mów do mnie po prostu: Koźle!

---

<sup>45</sup> ziarn – dziś popr. forma D. lmn.: ziaren. [przypis edytorski]

<sup>46</sup> bachórek – dziś: bachorek. [przypis edytorski]

### III. „Zabacuł”

- To zrobił z pewnością Zabacuł!
- Z tym Zabaculem wytrzymać już trudno!
- Powiedzcie Zabacułowi, że klasa to nie stajnia.
- Hej, Zabacuł! Zabacuł! może byś przyjsć tu **racuł**<sup>47</sup>!

Od razu poznaje się, że „Zabacuł” nie jest nazwiskiem. Nikt nazywać się tak nie może. I w istocie, nazwisko chłopca, na którego tak wołają, brzmi zupełnie inaczej, choć również niezwykajnie: Księżopolczyk.

Profesor Luceński, nauczyciel języka francuskiego, wielki wykpisz<sup>48</sup>, z upodobaniem przekręcający cudze nazwiska, odczytując listę uczniów mianuje tego „knota” coraz inaczej: Księży palczyk, Księży kolczyk, Książę Opolczyk, Konstantynopolczyk...

Klasa, choć każde z tych przekręceń śmiechem głośnym przyjmuje, żadnego nie raczyła adoptować. Klasa ochrzciła knota samodzielnie, dając mu przezwisko: Zabacuł.

Rozumie się, że to przezwisko nie powstało przypadkowo, że posiada swój właściwy rodowód.

Księżopolczyk jest synem ubogiego szlachcica zagrodowego, na pół chłopca. Jego ojciec wzbudził raz podziw wszystkich uczniów, przybywszy na dziedziniec szkolny podczas „pauzy”. Miał na sobie prostą włościańską<sup>49</sup> sukmanę<sup>50</sup>, ale do jednej z pół tej sukmany była przyszyta maleńka blaszana szabelka – świadectwo otrzymanej niegdyś, od któregoś z królów polskich, nobilitacji<sup>51</sup>.

Młody Księżopolczyk, choć piastuje godność „knota”, jest sporym już, lat trzynastu, może nawet czternastu, wyrostkiem. Wieś często przysyła szkole takich, niekiedy starszych, wychowańców. Spóźnili się z nauką, bo musieli ojcu pomagać w polu, w stajni, w lesie, w oborze.

Zdrowi, krzepcy fizycznie, imponują z początku kolegom siłą ręki, zębów (podnoszą w zębach stolik, stojący na katedrze<sup>52</sup>), bark<sup>53</sup> (obnoszą po czterech naraz malców, siadających im na ramionach i plecach) – potem jednak, poznawszy, że siłą pięści nie można wywalczyć nie tylko nagrody i pochwały, ale nawet promocji, tracą humor, przygarbiają się, mizernieją... Wówczas też odbywa się w nich stanowczy przełom, o całej przyszłości stanowiący. Jedni, z zimną, żelazną, prawdziwie chłopską zawziętością zabierają się całą siłą do nauki, „kują” po całych dniach i nocach, nie wiedzą, co zabawa i odpoczynek, i w końcu – wyrastają na dzielnych co się zowie ludzi. Inni po prostu – rejterują.

Znalazł się raz pomiędzy „knotami” wyrostek z wysypującym się już wąsem, wysoki, barczysty, z głosem dojrzałego już mężczyzny. Siedział na ostatniej ławce i kuł a kuł. Pomimo kucia, promocji nie otrzymał.

Po wakacjach przyjechał i jako drugoroczny pierwszoklasista, znów zabrał się do „kucia” – z mniejszym już zapalem. Wąs mu tymczasem sypał się coraz gęściejszy i twardszy.

Na Boże Narodzenie pojechał do domu – i już nie powrócił.

– Co się stało z Mosakowskim? – wypytywali na wszystkie strony malcy. – Dlaczego Mosakowski do szkoły nie wraca?

Nikt nie umiał na to odpowiedzieć.

Dopiero w połowie karnawału rzecz się wyjaśniła.

---

<sup>47</sup> *racuł* (gw.) – popr. forma 3 os. lp cz.przesz.: raczył. [przypis edytorski]

<sup>48</sup> *wykpisz* (daw. reg.) – szyderca. [przypis edytorski]

<sup>49</sup> *włościański* (daw.) – chłopski. [przypis edytorski]

<sup>50</sup> *sukmana* – długie męskie okrycie wierzchnie z sukna lub wełny, dołem rozszerzane, dawniej powszechnie noszone przez chłopów. [przypis edytorski]

<sup>51</sup> *nobilitacja* – nadanie szlachectwa. [przypis edytorski]

<sup>52</sup> *katedra* – tu: podwyższenie, na którym stoi stół dla nauczyciela. [przypis edytorski]

<sup>53</sup> *bark* – dziś popr. forma D. lm: barków. [przypis edytorski]

Ten sam profesor Luceński, przyszedłszy na lekcję w dobrym humorze i zabrawszy się do czytania listy, przy nazwisku Mosakowskiego zatrzymał się, głową pokiwał...

Klasa uszy nastawiła.

– Ach, Mosakowski!... – westchnął profesor. – Nie zobaczymy więcej Mosakowskiego! Już po Mosakowskim... *Parole*<sup>54</sup>!

– Co się z nim stało, panie pro...sorze? – zapytało kilku śmielszych, nie mogąc zapanować nad ciekawością i niepokojem.

– Nieszczęście!

– Co takiego?

– A cóż! Nie chciał się gałgan uczyć, od gramatyki uciekał, do pisania słówek lenił się, do geografii nie można go było kijem nagnać – więc jego biedny, stary ojciec, rady żadnej dać sobie nie mogąc, wziął i...

– I co? I co?... Niech pan prosor powie! Mój panie prosorze!

Profesor wygarnął szczyptę proszku z maleńkiej, szylkretowej<sup>55</sup> tabakiereczki<sup>56</sup>, zażył – palce o rudą perukę wytarł...

– I... ożenił go! – poważnie dokończył.

Chłopcy otworzyli szeroko oczy i usta, nie wiedząc, co o tym sądzić. Byli zdziwieni i jakby przelekli. Wyobrażali sobie swego kolegę pod rękę z dojrzałą, poważną osobą płci żeńskiej, taką jak ich matki i babcie, i uczuwali żal nad jego losem. – Biedny chłopiec! – myśleli. – Nie wolno mu pewnie teraz ani w piłkę pograć, ani kozła wywinąć, ani wykrzywić się pociesznie, ani zapiąć po koguciemu... „Poważna osoba płci żeńskiej”, którą on musi „żoną” nazywać, na krok go nie odstępował, za wszelkie wybryki karci...

Profesor Luceński dostrzegł i zapamiętał wywołane przez siebie wrażenie. Postanowił też posługiwać się nim w celach pedagogicznych.

„Knoty” mieli dziwnie twarde języki, nie pozwalające im na dobrą „pronuncjację<sup>57</sup>” słów francuskich. Profesora nadzwyczaj to drażniło. W zniecierpliwieniu uderzał swą grubą trzcina w stolik lub katedrę, budząc wielki strach między malcami.

Najwięcej biedy było zawsze z wymawianiem dyftongów<sup>58</sup>: **en, an**. Przy nich też zawsze bambus profesorski wywoływał grzmoty, rozlegające się po całym budynku szkolnym.

Profesor układał i wymawiał kazał zdania dziwaczne, służące do gimnastyki języków.

– *L'enfant, en venant sentit le sentiment...*

Na dziesięciu malców, jeden zaledwie umiał nadać słowom brzmienie właściwe. Reszta wymawiała je tak:

– **Lafą ą weną sāti le sätimą...**

– Kapuściane głowy! – krzyczy profesor. – Drewniane języki! Krowy wam paść – *parole!*

Najlepszą pronuncjację miał Szabuński, którego matka była **madamą**, to znaczy, utrzymywała dwuklasową pensję dla panien. I on jednak niezupełnie zadawał<sup>59</sup> profesora.

– Nieźle... **parole!**... nieźle – chwalił Luceński. – Ale daleko ci jeszcze, mój Szabasiński<sup>60</sup>, do doskonałości. To trzeba wymawiać inaczej: nosowo... jak najbardziej nosowo... **L'enfaaant!...** **sentimaaant!...**

---

<sup>54</sup> *parole* (fr.) – słowo. [przypis edytorski]

<sup>55</sup> *szylkret* – masa rogowa otrzymana ze skorupy żółwia podzwrotnikowego, z której wyrabia się grzebienie, guziki itp. [przypis edytorski]

<sup>56</sup> *tabakiereczka*, zdr. od *tabakierka* – płaskie pudełko do przechowywania tabaki, tj. sproszkowanego aromatyzowanego tytoniu, używanego dawniej jako środek pobudzający do kichania. [przypis edytorski]

<sup>57</sup> *pronuncjacja* (daw. z łac. a. z fr.) – sposób wymawiania, wymowa. [przypis edytorski]

<sup>58</sup> *dyftong* – połączenie dwóch samogłosek, z których jedna nie jest sylabotwórcza, np. **au** w wyrazie **auto**. [przypis edytorski]

<sup>59</sup> *zadawał* – dziś popr. forma 3 os. lp cz.przesz.: zadawała. [przypis edytorski]

<sup>60</sup> *Szabasiński* – nauczyciel przekręca nazwisko Szabuńskiego tak, aby kojarzyło się z żydowskim świętem, zwanym *szabas* a.

Szabuński, żywy brunecik, był najśmielszy do profesora, który bywał u jego matki – miał się nawet podobno żenić z jego ciotką...

Gdy Luceński popisywał się swym nosowym wymawianiem – on przerwał odważnie:

– Panu prosorowi to łatwo – bo pan prosor ma nos zapchany tabaką<sup>61</sup>...

Klasa – struchlała. Wypadek był niesłychany. Takie zuchwalstwo względem takiego nauczyciela!

Luceński stał się na chwilę tak czerwony, jak jego peruka. Potem chwycił swą grubą trzcinę, z silnym rozmachem uniósł ją w górę i ...

I spokojnie położył na stoliku, obok kałamarza<sup>62</sup> i piasecznicy<sup>63</sup>.

Szeroka, wygolona twarz przybrała zwykły wyraz; na ustach pojawił się zwykły, lekko ironiczny uśmiezek...

Profesor zanurzył dwa palce w kieszonce od kamizelki, wyjął małe, szylkretowe pudełeczko – otworzył je i Szabuńskiemu podsunął.

– No – dobrotliwie wyrzekł – zażyjże i ty!... Dobra – **parole!**... Prawdziwa francuska – w sam raz do wymawiania dyftongów i spółgłosek nosowych...

Szabuński uklonił się, zażył tabaki, znów się uklonił i czterokrotnie, raz po raz, kichnął. Koledzy czterokrotnie, raz po raz, krzyknęli mu: „na zdrowie!” W klasie zapanował nastrój bardzo przyjemny.

Ale w tejże chwili na katedrze rozległ się grzmot. Profesor walił trzciną w stół jak **Jupiter tonans**<sup>64</sup>. Wśród grzmotów krzyczał:

– Zapowiadam wam, głowy kapuściane, że gdy który nie nauczy się wymawiać dobrze dyftongów **an** i **en**, tabaką częstować go nie będę, ale – jakem Luceński! **Parole!** – wyrzucę z klasy i napiszę do ojca, żeby go... ożenił!

Odtąd ta pogróżka, – istotnym strachem malców przejmująca – stale się powtarzała w podobnych okolicznościach. Nazwisko zaś Mosakowskiego w kronikach szkoły powiatowej P-kiej<sup>65</sup> na zawsze się utrwaliło.

Księżopolczykowi nie grozi ożenienie się. Nie ma on ani tych lat, ani tych wąsów, co Mosakowski... – nie wygląda w ogóle na takiego, z którym by czyjaś matka lub babka chodzić mogła pod rękę.

Jest wprawdzie duży i gruby, ale brak mu zupełnie tej rzeźkości, jaką odznaczają się wiejskie wyrostki. Zgarbiony, kurczący się, z twarzą chorobliwą, żółtą, piegami osypaną, osowiałą, unika, ile tylko może, towarzystwa hałaśliwych kolegów, szuka miejsc samotnych, wciska się do najdalszych, półciemnych ławek, gdzie w zupełnym spokoju może... zajadać „pajdy” chleba razowego, którymi ma wypchane wszystkie kieszenie.

Jedzenie, a ściślej mówiąc: żucie razowca jest sportem, uprawianym na wielką skalę przez grubych, borsukowatych, z wystającymi żołądkami „knotów”, którzy przybywają do miasta z na pół chłopskich zagród wiejskich. Prócz chleba, służy im do żucia groch gotowany, pestki dyni – niekiedy nawet siemię lniane<sup>66</sup>. Ci przeżuwacze są prawie zawsze ostatnimi osłami i poza trzecią klasę nigdy nie przechodzą.

---

szabat. [przypis edytorski]

<sup>61</sup> *tabaka* – sproszkowany aromatyzowany tytoń, używany dawniej jako środek pobudzający do kichania. [przypis edytorski]

<sup>62</sup> *kałamarz* – naczynie na atrament. [przypis edytorski]

<sup>63</sup> *piasecznica* – naczynie na piasek, którym posypywano zapisany atramentem papier, żeby szybciej wysechł. [przypis edytorski]

<sup>64</sup> *Jupiter tonans* (łac., mit. rzym.) – Grzmiący Jowisz; Jowisz to najwyższy z bogów rzymskiego panteonu, pan nieba, grzmotu i gromu. Jego atrybutem był piorun, z tego powodu czczono go pod imieniem *Iupiter Fulgur* (Ciskający błyskawicę) i *Iupiter Tonans* (Grzmiący). [przypis edytorski]

<sup>65</sup> *szkoły powiatowej P-kiej* – Wiktor Gomulicki spędził dzieciństwo w Pułtuskach i tam chodził do szkoły. Zapewne jednak chciał, aby jego opowiadania o szkole miały charakter bardziej uniwersalny, a nie tylko osobisty, i dlatego zaszyfrował w tekście **Pułtuskiej** jako **P-kiej**. [przypis edytorski]

<sup>66</sup> *siemię lniane* – nasiona lnu zwyczajnego, działające na żołądek osłaniająco, łagodnie przeczyszczająco; zawierają duże ilości

Niekiedy jednak wpływ nauki, powietrze miejskie, przykład ucywilizowanych kolegów, oddziałują na nich korzystnie – czynią z nich ludzi, podobnych innym. Zapowiedzią zmiany dobroczynnej bywa zwykle utrata apetytu i znaczne schudnięcie. Nawróconym przestaje smakować razowiec, odwracają się ze wstrętem od grochu, siemię lniane pozostawia z nich każdy – kanarkom. Wówczas też wychodzą z mroku „oślą ławkę” zalewającego i uczniowie z pierwszych rzędów pozyskują w nich dobrych, wesołych, skłonnych do poświęceń, często nawet bardzo inteligentnych towarzyszków.

W Księżopolczyku, niestety, nic tego przetworzenia się nie zapowiada. Owszem, jest widoczne, że z tej poczwarki nigdy już motyl piękny nie wyfrunie.

Pewna smutna, do usunięcia niemożliwa okoliczność stan ten pogarsza: jest na pół głuchy. Z przytępieniem słuchu idzie u niego w parze przytępienie władz umysłowych. Jego jasne, żółtawe oczy nie mają blasku, jaki zapala zbudzona, z siebie samej świadoma inteligencja.

Śpi też niezawodnie ta inteligencja – bo czyżby inaczej Księżopolczyk został „Zabaculem?”...

Nieprawdopodobnie wygląda ta historia – jest wszakże we wszystkich szczegółach prawdziwa.

Nauczyciel niemieckiego, Effenberger, pomimo bardzo krótkiego wzroku dojrzał raz w cieniach ostatniej ławki Księżopolczyka, na którego nie zwracał dotąd pilniejszej uwagi.

Ten nauczyciel należy do najzapalczywszych pedagogów, a przynajmniej do największych krzykaczy w szkole. Jak wszyscy nauczyciele niemieczyny świeżo na grunt polski przeplancowani, pełen oryginalności, graniczącej z dziwactwem.

Twarz profesora Effenbergera posiada latem barwę czerwoną, w zimie fioletową. Profesor jest zapamiętałym hydropatą<sup>67</sup>; lubi żywioł płynny pod każdą postacią. Kąpie się zapamiętale przez rok cały: w porze upałów bierze „prysznic” pod kołem młyńskim, podczas mrozów zanurza się w przeręblu. Postawę ma sztywną, włosy szpakowate, przy samej skórze ostrzyżone. Chodzi prędko po linii prostej, nigdy nie zbaczając, przed nikim nie ustępując, krokami odmierzonymi, w tempie wojskowym: raz-dwa... raz-dwa...

Jest muzykalny i towarzyski. Poza szkołą daje lekcje gry na skrzypcach; zastępuje też niekiedy na chórze chorego organistę. Uczestniczy we wszystkich wieczorkach ponczowo-pączkowych, urządzanych w karnawale; nie brak go też na żadnej uroczystości rodzinnej w rodzaju imienin, chrzcin, jubileuszów, wesel. Bierze nawet udział w stypach pogrzebowych. Oświadcza się zawsze z wielką miłością dla Polaków i co dziwniejsze, miłości tej składa dowody.

Posiada dużo stron sympatycznych oraz przysłowie: „tak, panie tak”...

Otóż profesor Effenberger, dojrzawszy przez silne okulary Księżopolczyka, zawołał:

– A ty tam... tak, panie tak... skąd sze wsząłeś?

Chłopiec milczał, żuł chleb razowy i patrzył przez okno na liście, opadające z kasztana.

– Gadaj sara... tak, panie tak!

Księżopolczyk nie odwracał się, ani wiedząc, że do niego mówiono.

Effenberger zaperzony zeskoczył z katedry, przybiegł do ławek, zaciśniętą pięścią groźnie potrząsał...

– Sara wstawaj! – krzyczał – natychmiast! jak najpręcej! w pół minuta!...

Dopiero kilka kuksańców, wymierzonych pod ławką przez kolegów, zbudziło Księżopolczyka.

Wstał, leniwie się przeciągając.

– Czego?... – zapytał z pełnymi ustami chleba.

Gniew nauczyciela spotęgował się jeszcze.

– Ach, ty, tak, panie tak!... jak sze nasywasz?

---

śluzu i oleju. [przypis edytorski]

<sup>67</sup> *hydropatia* – wodolecznictwo, lecznicze wykorzystywanie fizycznych właściwości zwykłej wody o różnej temperaturze. [przypis edytorski]

Ale tamten nic sobie z gniewu nie robił – nie rozumiał go nawet. Dłoń zwiniętą przyłożył do ucha i powtarzał przeciągle:

– Czegoooo?... Czegoooo?...

Koledzy zaczęli wykrzykiwać mu nad uchem, jeden przez drugiego:

– Pan psor mówi... Pan prosor każe... Pan fesor żąda... żebyś powiedział, jak się nazywasz?

Księżopolczyk zrozumiał nareszcie. Twarz jego przybrała najpierw wyraz wielkiego zdumienia; potem odmalował się na niej namysł głęboki...

Długo milczał, szukając czegoś w pamięci – wreszcie oczy spuścił i rzekł:

– „Zabacułem<sup>68</sup>”...

Klasa w śmiech – Effenberger zaś, nic zrozumieć nie mogąc, zwrócił się do prymusa:

– Prymus!... tak, panie tak!... gadaj sara, so on powiedział?

Pierwszy uczeń wyprężył się jak struna i ciekawym głosem zaraportował:

– On, panie prosorze, powiedział, zabacułem.

– *Was ist denn das*<sup>69</sup>: „sabba-szulem?” To po żydowsku musi być **oder**<sup>70</sup> po arabsku?... Prymus, panie tak! Gadaj sara so to znaczy?

Studencik, rozkaz spełniając, zapiał:

– To znaczy, panie prosorze, że on zapomniał, jak się nazywał!

Effenberger oczy wytrzeszczył – klasa zanosila się od śmiechu.

– Ach, ty tak, panie tak! – wpadł Niemiec na Księżopolczyka. – Ty własne **Name**<sup>71</sup> zapomniała?

Ach, ty oszol!

– Czegoooo? – spytał tamten, nie dosłyszawszy i przestępując z nogi na nogę, bo go długie stanie zmęczyło.

– Baran!

Chłopiec wzruszył ramionami. Twarz jego wyraziła wielkie zdziwienie.

– Wieprz!...

Wyrzuciwszy z siebie ostatnie słowo i dodawszy jeszcze dla nacisku energiczne: „pfuj!” – profesor, pełen oburzenia i wstrętu, odwrócił się od sponiewieranego ucznia.

Tamten, widząc, że sprawa skończona, usiadł, wyciągnął z kieszeni nową „pajdę” razowca, i zabrał się spokojnie do jedzenia.

Klasa – ryczała.

Od owego to dnia Księżopolczyk został „Zabacułem”.

Biedny Zabacu!

Są istnienia dziwne, zagadkowe, fatalnością naznaczone, które wśród bliźnich budzą okrzyki oburzenia lub wybuchu śmiechu szydlerczego, w jednym zaś i drugim wypadku zasługują wyłącznie – na współczucie.

Należał do nich ten syn zagrodowego szlachcica, „szaraczka” pyszniącego się blaszaną szabelką przy chłopskiej siermiędze.

Wilczy apetyt, apatyczne spojrzenie, przytępiony słuch, słabo rozwinięty umysł – wszystko to były objawy groźnej, nurtującej organizm chłopca choroby.

Jeszcze rok szkolny nie dobiegł do końca, gdy Księżopolczyk musiał przerwać naukę i do łóżka się położyć.

Ojciec wywiózł go na wieś – ułożywszy na prostych „drabkach<sup>72</sup>”, wysoko sianem wysłanych. Chłopiec chorował całą wiosną i pół lata i zdrowia odzyskać nie mógł.

---

<sup>68</sup> *zabacułem* (gw.) – popr. forma 1os. lp cz.przesz.: *zabaczyłem*; *zabaczyć* (daw. reg.) – zapomnieć. [przypis edytorski]

<sup>69</sup> *Was ist denn das?* (niem.) – co to jest? [przypis edytorski]

<sup>70</sup> *oder* (niem.) – lub. [przypis edytorski]

<sup>71</sup> *Name* (niem.) – nazwisko. [przypis edytorski]

<sup>72</sup> *drabka* (reg.) – drabina; tu: wóz drabiniasty. [przypis edytorski]

Na kilka dni przed śmiercią oczy jego zaczęły nabierać niezwykłego blasku, twarz straciła swój zwykły, nieruchomy, osowiały wyraz. Zaczął mówić o szkole, nauczycielach, współuczniach...

Musiano mu nieustannie odczytywać listę kolegów. Była to jego najmilsza rozrywka. Słuchając to uśmiechał się, to mrugał powiekami, to wzdychał głęboko.

Raz szepnął, jakby tylko do siebie:

– To dobre chłopaki...

Potem rzekł głośniejszym głosem, z twarzą, nagłym blaskiem rozpromienioną:

– Tak bym chciał poznać się z nimi bliżej, pobratać!

Ocknęła się w nim dusza za późno – gdy już na sen wieczny kłaść się musiał...

## IV. Prymus-lizus

Przyjemnie być prymusem.

Prymus jest w klasie pierwszą osobą po profesorze. On to przynosi i odnosi wielki dziennik klasowy; on dwa razy na dzień wchodzi do kancelarii, gdzie ma dostęp do samego inspektora; on melduje, że atrament w kałamarzu na katedrze<sup>73</sup> „wysechł”, kreda przy tablicy „wypisała się”, gąbkę „ktoś świsnął<sup>74</sup>”...

Do prymusa profesor zwraca się w sprawach „delikatnej natury”, na przykład: kto rzucił na środek klasy skórkę od pomarańczy? Albo: dlaczego Baranowski przy odczytywaniu listy był obecny, a gdy został wezwany do lekcji, oświadczono, że go nie ma? Albo: skąd się wziął w klasie zapach dymu tytoniowego?...

Nazwisko prymusa znajduje się na wszystkich ustach w szkole i na wielu ustach poza szkołą. Każdego ucznia pytają w domu rodzice i znajomi:

– Kto u was jest prymusem?

Prymus stanowi łącznik pomiędzy kolegami a zwierzchnością szkolną i gdy jest zręczny, może służyć obu stronom, żadnej nie krzywdząc. On, wstępując na katedrę dla podania profesorowi pióra lub ołówka, ma sposobność zerknąć na dziennik lub „katalożek”, i podchwyciwszy drogocenną tajemnicę stopni, udzielać jej zaufanym kolegom. Są tacy, co znając wpływy i stosunki prymusa, starają się go przekupić – ale on niedostępny pokusom, jak Kato<sup>75</sup>. Jednak nie pogardza ofiarowanym w porę „papataczem<sup>76</sup>”, do fundowanych sobie „babeł śmietankowych” wstrętu szczególnego nie żywi – nie widziano też nigdy, żeby wyrzucał za okno jabłko lub gruszkę, których smak niezwykle zachwalał mu kolega...

Co prawda, te wszystkie dary przyjmuje z wyniosłą obojętnością, jakby mówił:

– Należą mi się – ale mnie do niczego nie zobowiązują...

Przyjemnie być prymusem. Przyjemnie i zaszczytnie, ale tylko wówczas, gdy się do tej godności doszło prostą drogą osobistych zasług. Są bowiem inne jeszcze drogi, boczne, kręte, którymi nawet i na to miejsce wcisnąć się umieją niezasłużeni a – zręczni.

W ostatnim wypadku ma się władzę, powagę, znaczenie – ale nie ma się miłości współkolegów.

Ślimacki, który przed miesiącem objął stanowisko prymusa po Sprężyckim, zawdzięcza je okolicznościom dwuznacznym. Wszyscy wiedzą, że Sprężycki od niego zdolniejszy, że ma pojęcie żywe, bystre, że w lot wszystko chwyta i łatwo, logicznie wypowiada. A jednak Sprężycki musiał Ślimackiemu ustąpić. Dlaczego?...

Zaraz z początku roku prymusem zrobiono Sprężyckiego. Był to wybór zupełnie naturalny, zasłużony i przez wszystkich przewidywany. Winszowali go też wybranemu wszyscy – prócz Ślimackiego.

Ślimacki został trzecim czy czwartym uczniem – widoczne zaś było, że się rwie do miejsca pierwszego. Dowiedziawszy się o swej porażce, spochmurniał. Błada, chłodna jego twarz stała się jeszcze bledszą i chłodniejszą; wąskie usta zacięły się tak szczelnie, jakby nigdy już z nich nie miało wyjść słowo bratniej, koleżeńskiej miłości...

I nigdy też podobno nie wyszło...

---

<sup>73</sup> *katedra* – tu: podwyższenie, na którym stoi stół dla nauczyciela; biurko nauczycielskie. [przypis edytorski]

<sup>74</sup> *świsnąć* (pot.) – ukraść. [przypis edytorski]

<sup>75</sup> *Kato* – Katon Starszy, Marcus Porcius Cato, zwany Cenзором (234–149 p.n.e.), rzymski mąż stanu, mówca i pisarz; zdolny wódz i administrator; obrońca starorzymskich cnót obywatelskich, znany z wielkiej surowości obyczajów i pracowitości. Zaciekły wróg Kartaginy i orędownik jej zniszczenia, doprowadził do wybuchu III wojny punickiej (149–146 p.n.e.); twórca prozy łacińskiej, autor ponad 150 mów, a także m.in. dziejów Rzymu *Origines* i pracy *O gospodarstwie wiejskim*. [przypis edytorski]

<sup>76</sup> *papatacz* – ciastko drożdżowe z rodzynkami i cynamonem. [przypis edytorski]

Jakoś w tydzień po „usadzaniu”, profesor Izdebski, który bardzo lubił Sprężyckiego, chwycił go lekko za sterzącą czuprynkę i rzekł tonem ostrzegawczym:

– Bój się Boga, prymus! Mówią, że się puszczasz na „zbereżeństwa”, że kozły fikasz, na rękach chodzisz, węglem **fizys**<sup>77</sup> smarujesz...

Sprężycki zerwał się energicznie, wyprostował.

– Kto mówi, panie prosorze? – śmiało zapytał.

Profesor palec na ustach położył, obejrzał się wokoło.

– Baczność, uwaga... nikogo wskazywać nie można... To tajemnica kancelaryjna... Ale, bój się Boga, dobrze się pilnuj, żebyś z prymusostwa nie wyleciał...

W kilka dni później z podobnymi ostrzeżeniami, w tym samym tajemniczym tonie, wystąpił profesor Żebrowski. Było to tym dziwniejsze i tym bardziej niepokojące, że ten nauczyciel prawie nigdy nie wdawał się w prywatne sprawy uczniów, zajęty całkowicie przyrządkami, międzymorzami, wulkanami – wykładał bowiem geografę.

Jednocześnie i milczący inspektor dziwnym, badawczym i podejrzliwym wzrokiem w Sprężyckiego wpatrywać się zaczął...

Ale Sprężycki nic sobie z tego nie robił.

Zaufany w swe zdolności, pilny przy tym i punktualny, przeświadczony we własnym sumieniu, że obowiązki prymusa spełnia uczciwie – o resztę nie dbał.

Był zaś z natury żywy jak skra, równie biegły w wymienianiu państwerek, składających się na „Rzeszę Niemiecką”<sup>78</sup> (jeszcze jej wówczas Bismarck<sup>79</sup> w jedną całość nie spoił!) jak w prawidłach<sup>80</sup> palanta<sup>81</sup> i „ekstry”<sup>82</sup> – chłopiec, słowem, do różańca i do tańca.

Pod tym względem Ślimacki wyobrażał jego zupełne przeciwstawienie. Spokojny, zimny, z jasnymi włosami i oczyma, z głosem piskliwym, z ruchami powolnymi, nigdy nie brał udziału w zabawach uczniowskich, nigdy nie „dokazywał”, nigdy się nie uśmiechał.

Profesor Luceński nazwał go „Rybą”...

Jednego dnia prymus Sprężycki, uprosiwszy kolegów o jak największą spokojność, wystąpił na środek klasy, żeby im pokazać, jak to się tańczy „polkę-ułankę”. Była wówczas ta polka w modzie i Sprężycki znakomicie wykonywał ją solo, popisując się na wieczorkach tańczących<sup>83</sup> u rodziców i znajomych. Przed kolegami tańczył „ułankę”, z mnóstwem dodatków własnego wynalazku... Zachwycali się nimi wszyscy – prócz Ślimackiego, który nieznacznie wymknął się z klasy.

Właśnie, gdy tancerz wśród ogólnej wesołości najpocieszniej fikał nogami i rękami, ktoś drzwi po cichu otworzył i cofnął się, w progu zaś ukazał się – inspektor.

Ukazał się poważny, groźny, z wyдутym, jak balon, brzuchem, z wysuniętą wargą dolną, z założonymi „po napoleońsku” rękami...

Na ten widok wszystko nagle ucichło i jakby skamieniało. Sprężycki, zaskoczony zniemacka w chwili, gdy jedną nogę do góry zadzierał, lewą ręką trzymał się pod bok, a rękę prawą zaokrąglął łukowato ponad głową – zastygł, rzecz można, w tej nadzwyczajnej pozycji...

---

<sup>77</sup> *fizys* (z łac.) – twarz. [przypis edytorski]

<sup>78</sup> *Rzesza Niemiecka* – historyczne określenie państwa niemieckiego; I Rzesza (Stara Rzesza) istniała w latach 962–1806, było to historyczne państwo niemieckie (od 1474 Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego), którego władcy nawiązywali do tradycji starożytnych cesarzy rzymskich; II Rzesza funkcjonowała 1871–1918 i stanowiła federalne, konstytucyjne cesarstwo niemieckie pod panowaniem Hohenzollernów; III Rzeszą nazywane były w propagandzie Niemcy hitlerowskie 1933–45. [przypis edytorski]

<sup>79</sup> *Otto von Bismarck* (1815–1898) hrabia Bismarck-Schönhausen (od 1865), książę (od 1871), prusko-niemiecki mąż stanu. Od 1862 r. premier i minister spraw zagranicznych państwa pruskiego, doprowadził do zjednoczenia Niemiec z królem Prus na czele jako cesarzem niemieckim; w 1871 r. Bismarck został I kanclerzem Rzeszy Niemieckiej. Zręczny dyplomata i inicjator trzech wojen zaborczych, zyskał silną pozycję na arenie międzynarodowej. [przypis edytorski]

<sup>80</sup> *prawidła* – ogólne przepisy obowiązujące w jakiejś dziedzinie, normujące jakieś czynności. [przypis edytorski]

<sup>81</sup> *palant* – gra, w której uczestnicy podzieleni na dwie drużyny podbijają kijem małą piłkę gumową. [przypis edytorski]

<sup>82</sup> *ekstra*, własc. *ekstrameta* (daw.) – gra w piłkę studentów i zaków, podobna do dzisiejszego baseballu. [przypis edytorski]

<sup>83</sup> *wieczorek tańczący* (daw.) – wieczorek taneczny, zabawa taneczna. [przypis edytorski]

Wszyscy myśleli, że inspektor zagrzmie swym basem potężnym – on jednak milczał, milczał zaś tak wymownie, że słuchającym tego milczenia ciarki po skórze chodziły...

Przez kilka chwil wpatrywał się, bystro spod nasuniętych brwi, w przerażonego prymusa – potem głową pokiwał i odszedł.

Nazajutrz Sprężycki został usunięty z prymusostwa, miejsce zaś jego zajął – Ślimacki.

Klasa to niby maleńka republika<sup>84</sup>; prymus to jakby tej republiki prezydent. Zaraz po mianowaniu „Ślimaka” prymusem stało się widoczne, że to nie jest „prezydent z wyborów”, że ogół obywateli tej nominacji nie pochwała...

Utworzyła się silna „partia opozycyjna”, na której czele stał – Kozłowski.

Zaraz przy pierwszym „usadzaniu”, gdy inspektor naczelny wygłosił nazwisko Ślimacki – w ostatnich rzędach krzyknięto donośnie, choć spod ławki:

– Lizus!

Twarz inspektora przybrała wyraz straszny – oczy pod krzaczastymi brwiami zabłysły jak u tygrysa.

– Kto to powiedział? – zagrzmiał głosem okropnym, od którego serca dzieci na chwilę bić przestały.

Wszyscy wiedzieli, że krzyknął Kozłowski – ale nazwisko jego z niczyich ust nie wybiegło.

Inspektor powtórzył dwukrotnie pytanie – również bez skutku.

– Cała klasa do aresztu!... – pogroził wszystkim i wyszedł, drzwiami trzasnąwszy.

Tego dnia tylko Ślimacki jadł obiad o zwykłej godzinie. Wszystkich pozostałych rozdzielono zaraz po dwunastej na małe grupy i w pustych klasach pozamykano.

Przecierpieli głód mężnie – kolegi nie wydali.

Mimo to nazajutrz zaraz po pauzie Kozłowski został „wypukany<sup>85</sup>” z klasy. Wyszedł z miną smętną, jakby w przeczuciu nieszczęścia; wrócił po kwadransie – zapłakany.

Koledzy odgadli bolesną prawdę. Pełnym współczucia wzrokiem objęli nieszczęśliwą, jakby zmietoszoną postać Kozła; spojrzenie pełne nienawiści posłali Ślimakowi.

Ostatni siedział spokojnie „jak trusia” – blady, zimny z dwuznacznym uśmieszkiem, błakającym się na wąskich wargach. Zawsze on się uśmiechał – nigdy nie śmiał głośno. Nie widziano go też ani razu grającego w piłkę, ślizgającego się, biegającego do mety. Ludzie obdarzeni najbujniejszą wyobraźnią nie byli w stanie wyobrazić sobie Ślimackiego, wywracającego koziołka.

– Osobliwy fenomen... **parole!** – mówił o nim profesor Luceński. – Ryba pod postacią ślimaka.

Nowy prymus nie cieszył się miłością kolegów – natomiast bali się go oni. Ile razy jakieś kółko żywo o czymś rozprawiało, a on się zbliżył – natychmiast wszyscy milkli i rozchodzili się. On zaś, choć czynnego udziału w życiu koleżeńskim nie brał, niesłychanie był ciekawy wszystkiego, co się w kółkach mówiło i działo.

Ślimacki był synem urzędnika sądowego, zasuszonego wśród aktów, z twarzą bladą, zimną, z dwuznacznym na wąskich wargach uśmieszkiem. Bliźniacze podobieństwo istniało pomiędzy ojcem i synem – zwiększone tym jeszcze, że Ślimacki ojciec nie nosił żadnego zarostu, wygalając codziennie twarz całą z pedantyczną, w manię przechodzącą starannością.

Ślimak nigdy się nie unosił. Gdy mu który z zapalczywych kolegów powiedział co przykre – gdy nazwał go na przykład „lizusem” – nic nie odpowiadał. Rybie jego oczy wpatrywały się w przeciwnika spokojnie choć z napięciem – na wargach pojawiał się wyraźniejszy, niż zwykle, uśmieszek – i na tym wszystko się kończyło.

Ale w dwa, trzy dni później – czasem w tydzień dopiero – zapalczywy kolega „wypukiwany” był niespodziewanie do kancelarii. Zwierzchność zarzucała mu to naganne sprawowanie się poza

---

<sup>84</sup> *republika* (daw.) – republika. [przypis edytorski]

<sup>85</sup> *wypukany* – tu: wywołany. [przypis edytorski]

szkołą, to karygodne palenie tytoniu, to wałęsanie się w godzinach niedozwolonych po mieście i za miastem...

Na oczekaniu składano sąd, ferowano<sup>86</sup> wyrok i poddawano go natychmiastowej egzekucji. Z egzekucjami kulawy Szymon ledwie mógł nadążyć...

Tymczasem zbliżył się koniec roku szkolnego.

Wiedziano już powszechnie, że pierwszą nagrodę weźmie Ślimak, że Sprężyckiemu (który nie przestawał popisywać się na pauzach „polką-ułanką”) dostanie się co najwyżej „list pochwalny”. Jedni byli pewni przejścia do klasy wyższej; innych promocja wisiła „na włosku”. Do ostatnich należał Kozłowski, któremu nieotrzymanie promocji groziło pełnym wydaleniem ze szkoły. Na szczęście ujął się za sierotą (Kozłowski nie miał rodziców, wychowywały go ciotki) profesor Luceński i przejednał zawziętego nań inspektora.

Zaledwie Kozioł dowiedział się o zażegnaniu niebezpieczeństwa, zaraz zaczął brykać...

Na kilka dni przed „popisem publicznym”, na cały głos zaintonował w klasie podczas paury:

*Vacationes cras*<sup>87</sup>!  
Na lizusów czas!  
Dobrzy będą tańcowali,  
A lizusy w skórę brali  
Za nas i za was!

Piosnka była śpiewana tuż za plecami Ślimaka. Udawał, że jej nie słyszy – jednak uśmiech zniknął jakoś nagle z jego ust wąskich.

Hasło „*Vacationes cras*” podawali jedni drugim. Słysząc je było na korytarzach szkolnych, na dziedzińcu podczas wielkiej paury – na ulicach miasteczka. Brzmiało zaś coraz śmielej, coraz groźniej...

Druga strofka określała rzecz jeszcze wyraźniej:

*Vacationes cras*!  
Pójdziem wszyscy w las!  
Grubych kijów nałamiemy,  
Lizusów wygarbujemy  
Za nas i za was!

Nie były to czcze pogroźki – w parze z pieśnią szedł czyn...

W przeddzień popisu gromadka niebieskich mundurków przeprowiła się promem na drugą stronę Narwi, skierowała kroki do bliskiego lasu. Powrócono z wycieczki wprawdzie bez „grubych kijów”, ale za to z pękami mocnych, giętkich prętów łożinowych<sup>88</sup>.

Popis odbył się uroczystie, według zwykłego, corocznego programu. Uczniowie wygłaszali wiersze w różnych językach, chór uczniowski, pod wodzą organisty od fary<sup>89</sup>, wykonał „pienia religijne”, inspektor oraz burmistrz wystąpili z krótkimi przemowami, nawet któryś z piątoklasistów odczytał ułożoną przez siebie, a wystylizowaną przez starego nauczyciela języka polskiego „orację”.

Potem szczęśliwym wybrancom losu, w obecności ich mam i cioć, wręczono nagrody i listy pochwalne. Nie obyło się przy tej sposobności bez łkań głośnych i stłumionych. Płakali jedni z radości, inni z żalu i zawiści.

---

<sup>86</sup> *ferować* – orzekać. [przypis edytorski]

<sup>87</sup> *Vacationes cras* (łac.) – jutro wakacje. [przypis edytorski]

<sup>88</sup> *pręty łożinowe* – gałązki, witki, zwłaszcza wierzbowe. [przypis edytorski]

<sup>89</sup> *fara* (daw.) – kościół parafialny. [przypis edytorski]

Matka Ślimackiego nie była na akcie obecna. Chroniczna fluksja<sup>90</sup> nie pozwalała tej damie nigdy za próg mieszkania wyruszać. Nie popsuło to wszakże humoru i zadowolenia Ślimakowi. Wystarczyło mu do szczęścia przekonanie, że świadkiem jego tryumfu jest: „całe miasto”...

Z jakąż przesadną uniżonością przyjmował z rąk naczelnikowej powiatu (rozdawczyniami nagród były damy – jak na turniejach średniowiecznych) książkę w czerwonej oprawie ze złotymi brzegami! Z jakąż dumą wyniosłą wracał potem z tą książką do kolegów, mierząc ich wzrokiem, pełnym pogardliwej wyższości!

Po skończonym popisie zrobiła się dokoła Ślimaka – pustka.

Wszyscy skupili się w gromadki hałaśliwe, śmiejące się, figlujące – on pozostał sam, rażąco sam, jak człowiek zadumiony, od którego wszyscy z przestrachem uciekają.

I to wszakże nie zamąciło jego spokoju.

Sztynnym krokiem, z twarzą jak zawsze bladą i zimną, ale z głową podniesioną do góry, z uśmiechem lekceważąco wyniosłym szedł do domu środkiem ulicy, trzymając na widoku swą książkę czerwoną, od której biła luna.

Przeszedł jak tryumfator dwie ulice „pryncypalne<sup>91</sup>”, przeprowadzony zdumionymi oczyma żydowskich dzieciaków – ale gdy skręcił w boczną, drugorzędną uliczkę, opuściła go nagle pewność siebie...

Ujrzał idących naprzeciw siebie kilku koleżków z minami groźnymi. Śpiewali chórem „**Vacationes cras**”, i potrząsali groźnie prętami z łożyny. Dowodził oddziałem Sprężyki.

Tknięty przecuciem zawrócił i chciał „rejterować”, ale spostrzegł za sobą drugi także sam hufiec, śpiewający też samą piosnkę i zaopatrzony w też samą broń. Na czele drugiego hufca maszerował Kozłowski.

Ślimak zrozumiał, że go wzięto we dwa ognie. Na chwilę stracił przytomność umysłu, ale trwoga i spryt wrodzony przyszyły mu naraz z pomocą. Powziął nagle postanowienie i z bystrością szybkiego czmychnął do sieni najbliższego domu. Liczył na to, że „tyłami”, przez drugą bramę wydobędzie się na Rynek.

Niestety! Ten manewr przewidziany był zawczasu przez „nieprzyjaciela”. W sieni czekał już na Ślimaka zapasowy oddziałek, z Piotrusiem Mieszkowskim na czele...

Tam to właśnie, w tej pustce sieni miała się rozegrać stanowcza bitwa, której wynik nie mógł być dla nikogo wątpliwy...

Ślimak został rozciągnięty na ziemi i sromotnie<sup>92</sup> obity.

Każdemu uderzeniu pręta towarzyszyły głośno wykrzykiwane sentencje:

– To za długi ozór!

– To za szpiegostwo!

– To za donosicielstwo!

– To za intrygi u inspektora!

Potem nastąpiły przypomnienia:

– Pamiętasz, jak Sprężyckiego pozbawiłeś podstępem prymusostwa? Masz!

– Pamiętasz, jak „wydałeś” Kozła przed inspektorem? Masz!

– Pamiętasz, jak oszczekałeś Mieszka przed księdzem? Masz!

Długa była lista przypomnień – bardzo długa...

Ale nawet i w tym trudnym położeniu Ślimak okazał się wielkim dyplomatą. Choć bity i poniewierany, nie krzyczał, nie płakał, nie wzywał głośno pomocy. Zaciął zęby i tylko jęczał głucho, a czasem, jak wąż, groźnie syczał...

---

<sup>90</sup> *fluksja* (daw.) – obrzęk twarzy powstały wskutek procesów zapalnych zębów. [przypis edytorski]

<sup>91</sup> *pryncypalny* (daw., z łac.) – najważniejszy, główny. [przypis edytorski]

<sup>92</sup> *sromotnie* – w sposób przynoszący hańbę, wstyd. [przypis edytorski]

Po skończonej „egzekucji” chłopcy rozbiegli się na wszystkie strony. Niebawem w różnych punktach miasteczka echa zaczęły powtarzać energiczne okrzyki:

– „Na lizusów czas!”... „Pójdziem wszyscy w las!”... „Za nas i za was!”...

Ostatni wynurzył się z ciemnej sieni Ślimak.

Chusteczką otrzepywał starannie swą książkę czerwoną ze złoconymi brzegami, obciągał mundur i spodenki, prostował zgniecione kepi<sup>93</sup>, szczoteczką włosy przygładzał.

W kilka minut później szedł już do domu sztywny i pewny siebie, z twarzą zimną i pozornie spokojną – ale już bez uśmiechu drwiącego na wąskich wargach, a za to z nienaturalnymi na białych policzkach rumieńcami.

Jego geniusz dyplomatyczny raz jeszcze się objawił: wymógł bowiem na ojcu, że go ze szkoły P-skiej odebrał i przeniósł od gimnazjum gubernialnego. Zrozumiał, że wśród Kozłowych, Spreżyckich, Sitkiewiczów, Mieszkowskich miejsca już dlań nie było.

Ślimacki dopiął swego: skończył gimnazjum, potem uniwersytet i – „zrobił karierę”. Dobrze mu się dzieje, humor ma zawsze pogodny – i tylko na wspomnienie o szkole w P. i o którym z tamtejszych kolegów zachmurza się i rozmowę czym prędzej na inny przedmiot skierowywa<sup>94</sup>...

---

<sup>93</sup> *kepi* – sztywna czapka wojskowa lub uczniowska w kształcie ściętego stożka, z czworokątnym daszkiem. [przypis edytorski]

<sup>94</sup> *skierowywa* – dziś popr. 3os. lp.: skierowuje. [przypis edytorski]

## V. O chłopcu, co sypiał w trumnie

Był to poczciwy, nieco rozlazły wyrostek, z dużą głową i kędzierzawymi włosami, w których tkwiło zawsze pełno drobnych wiórków stolarskich.

Nazywał się Krystek.

Nazwisko, dość niezwykle, należało jednak w miasteczku do popularnych. Uczynił je takim duży szyld, gdzie na tle zielonym były wymalowane czerwono: szafa, komoda, łóżko, a pod nimi napis: **Wojciech Krystek stolaż**<sup>95</sup>.

Tego Wojciecha synem był chłopiec z dużą kędzierzawą głową – również Wojciech.

Koledzy przezwali syna „Wojtek”, a profesor Luceński nie zaniedbał Krystka przefasonować na „Antychrystka”.

Wojtek miał małe zdolności, ale był zawzięty. Zawziął się dostawać dobre stopnie i – dostawał je. Niewiele rozumiał z tego, co się uczy, ale każdą lekcję wykuwał doskonale na pamięć i wypowiadał nauczycielowi jednym tchem, z zamkniętymi do połowy oczyma, – jakby w obawie, żeby jakie niespodziane wrażenie wzrokowe szyków mu nie popsuło.

Za to w zwykłej rozmowie płynnym bynajmniej nie był. Zawadzała mu tu samogłoska „a”, którą wtrącał co kilka słów bez żadnej potrzeby, wymawiając ją przez nos i ponad wszelką miarę przeciągając.

Pytał go kto:

– Wojtek! Pójdiesz na „ciarki<sup>96</sup>”?

On w głowę się drapał i usta szeroko otwierał.

– A... pójdę! Co nie miałbym... a... pójść!

To, że jego ojciec był prostym robotnikiem, nikogo nie raziło. „Niebieskie mundurki” nie znały różnic stanowych – przynajmniej tam, w tym cichym, dobrym miasteczku, gdzie Sarbiewski swe pierwsze rymy składał, a Skarga i Wujek z kazalnicy przemawiali.

Syn stolarza, syn urzędnika i syn obywatela ziemskiego żyli w szkole na jednych prawach, całowali się i czubili bez żadnych wyróżnień.

Czasem tylko rzemiosło Wojciecha Krystka budziło ciekawość w kolegach jego syna.

– Słuchaj, Wojtek! – zagadywali – to ty wiesz, jak się robi szafę?

– A... wiem.

– Krzesło?

– Też wiem.

– Stół, komodę, łóżko, ławkę?

– Wszystko... a... wiem. Jakbym się uparł, tobym sam... a... każdą rzecz zrobił.

„Arystokraci klasowi”, umiejący zaledwie domki z kart ustawiać, kręcili głowami z podziwu.

– To ci dopiero... – powtarzali, przejęci szacunkiem dla kolegi.

Czasem na przechadzce, gdy znaleźli kilka deszczułek<sup>97</sup>, przynosili je Krystkowi, a on, zasiadłszy w rowie na kamieniu przydrożnym lub pod drzewem w polu, tłumaczył im metodą poglądową: jak to powstają stoły, łóżka, szafy...

Słuchali wykładu z nadzwyczajnym zajęciem<sup>98</sup>. To wszystko było dla nich takie nowe! Takie ciekawe!

---

<sup>95</sup> *stolaż* – popr.: stolarz. [przypis edytorski]

<sup>96</sup> *ciarka* – tu: owoc tarniny, ciernistego krzewu o białych kwiatach i granatowych owocach o cierpkim smaku. [przypis edytorski]

<sup>97</sup> *deszczułka* – mała deska. [przypis edytorski]

<sup>98</sup> *zajęcie* – tu: zaciekawienie. [przypis edytorski]

Krystek miał stały przywilej budzenia w kolegach podziwu. Raz na przykład pokazywał im zrobiony przez siebie „garnitur<sup>99</sup>” maleńkich, lilipucich mebelków. Pomimo że całość, złożona ze stołu, kanapy, dwóch foteli i sześciu krzeseł mieściła się wygodnie na wierzchu zwykłej uczniowskiej teki, każda sztuka była wykończona jak najdokładniej, mocno sklejona i pokryta błyszczącą politurą.

Koledzy zachwycali się w równym stopniu dziełem i twórcą. W nowym też, ponętym świetle ukazywało im się – rzemiosło.

– Wiesz, Witek – mówił Dembowski do Spreżyckiego – chciałbym zostać stolarzem...

– Ja też! – wzdychał tamten.

Obaj zaś mieli zamożnych rodziców, którzy pragnęli uczynić swych synów co najmniej – mecenasami.

– Wojtek! – dopytywali „mistrza” koledzy – dla kogoś ty zrobił te śliczności?

– A... dla księdza-stryjka.

– Lubisz go?

– A... lubię! Daje mi na książki, na kajety; szkołę za mnie... a... opłaca.

– Pewnie chce, żebyś został księdzem?

– A... chce.

– I ty zgadzasz się na to?

– A... nie.

– Pewnie wolisz być stolarzem?

– A... broń Boże! Ja wolę... a... „wykierować się” na – aptekarza.

– Pigułki kręcić, lukrecję smażyć, robić pomadę i maść na odciski?

– A... tak.

Koledzy mają nowy powód do dziwienia się.

Kilku chłopców objawiło chęć odwiedzenia Wojtka, a właściwie – jego ojca. Warsztat Wojciecha Krystka ciągnie ich do siebie, wydaje się im czymś nadzwyczajnym. Pragnęliby zobaczyć z bliska heble<sup>100</sup>, piły, świdy, śrubsztaki<sup>101</sup>, winkielaki<sup>102</sup>, piony<sup>103</sup>, bory<sup>104</sup>, bankajzy<sup>105</sup> – te wszystkie nadzwyczajne narzędzia, o których tyle się nasłuchali od młodego Krystka...

Ale on kręcił głową dwuznacznie.

– A... trudno to będzie. Mój „tatk” nie lubi, jak mu kto w robocie przeszkadza. Czeladnik<sup>106</sup> też na gapiów... a... pomstuje...

Nie brzmiało to zachęcająco – na tytuł „gapia” nikt nie chciał zasłużyć. Jednak ciekawość niezaspokojona nie przestawała chłopcom dokuczać.

Jednego dnia Krystek nie przyszedł do szkoły. Nie przyszedł drugiego dnia i trzeciego. Rozeszła się wieść, że jest chory ciężko, może śmiertelnie.

Spreżycki i Kozłowski postanowili odwiedzić kolegę. Za Spreżyckim pociągnął nieodstępny jego towarzysz Dembowski. Do Dembowskiego przyczepił się Sitkiewicz. Sitkiewiczowi narzucił swe towarzystwo Bellon. Nie brakło też Piotrusia Mieczkowskiego, który musiał być wszędzie, gdzie znajdował się Kozioł.

---

<sup>99</sup> *garnitur* – tu: zestaw przedmiotów służących do jednego celu i stanowiących pewną całość. [przypis edytorski]

<sup>100</sup> *hebel* – **strug**, narzędzie stolarskie służące do wyrównywania i wygładzania powierzchni drewna. [przypis edytorski]

<sup>101</sup> *śrubsztak* – imadło przymocowane do stołu roboczego. [przypis edytorski]

<sup>102</sup> *winkielak* (przest.) – **kątownik**, przyrząd stalowy w kształcie kąta prostego, używany do konstrukcji budowlanych lub okuć stolarskich. [przypis edytorski]

<sup>103</sup> *pion* – ciężarek zawieszony na sznurku, służący do wyznaczania kierunku pionowego. [przypis edytorski]

<sup>104</sup> *bor* (daw.) – wiertło. [przypis edytorski]

<sup>105</sup> *bankajz* – żelazny hak wbijany w ścianę, używany w robotach blacharskich, kowalskich i ślusarskich, wiążący z sobą inne elementy konstrukcji w sposób uniemożliwiający ich przesunięcie lub obrót. [przypis edytorski]

<sup>106</sup> *czeladnik* – wykwalifikowany rzemieślnik pracujący pod kierunkiem majstra. [przypis edytorski]

Liczna gromadka pociągnęła wieczorem ku drewnianemu domowi, ozdobionemu zielono-czerwonym znakiem.

Brukowana sień, „na przestrzał”, przepoławiała niewielki dom, oddzielając od siebie dwa mieszkania i dwa warsztaty. Po prawej stronie mieszkał szewc, po lewej stolarz.

Gromadka zatrzymała się w sieni; najśmielszy i najryzykowniejszy Sprężycki przysunął się do drzwi od mieszkania pana Wojciecha Krystka. Panowała tam cisza zupełna – w warsztacie zawieszono już widocznie robotę.

Sprężycki zapukał – ze środka nie odpowiedziano. Nacisnął klamkę – drzwi otworzyły się same. Wszedł zalękniony, bąkając nieśmiało: „dobry wieczór” – na co również nie otrzymał odpowiedzi.

W dużej izbie warsztatowej było prawie ciemno. Światło małej olejnej lampki<sup>107</sup> zaledwie pozwalało rozeznac przedmioty. Niedokończone meble, deski oparte o ścianę, szafy z próżnymi, czarnymi wnętrzami, stopy wiórów na środku i po kątach – wszystko tworzyło dziwny, fantastyczny, ponury zamęt.

Sprężycki chciał się cofnąć – ale w jednym kącie poruszyły się nagle wióry – spomiędzy wiórów wybiegło jakby ciężkie, przeciągłe westchnienie...

Lampka jasno to miejsce oświecała – chłopiec zapuścił tam wzrok niespokojny a ciekawy.

W tejsze chwili włosy zjeżyły mu się na głowie – krzyknął głośno i wybiegł pędem do sieni.

Pędził tak szybko, że koledzy zdążyć za nim nie mogli. Przytrzymali go dopiero na ulicy, przerażonego, drżącego...

– Gadaj, co się stało?...

– Czemuś „dał nura?”...

– Diabłaś zobaczył, czy co?...

– Dajcie mi pokój<sup>108</sup>!... – odpowiadał tamten na wszystkie pytania. – Com ja widział... ach! com ja widział!...

– Gadajże, Sprężyk!... Nie bądź głupi!

– Już po naszym Wojtku... ach! Już umarł!... Już w trumnie leży... Ledwie się rusza – i tak jęczy, jęczy!...

Chłopcy skamienieli z przerażenia. Przez kilka chwil stali z otwartymi ustami, nie będąc w stanie przemówić.

Pierwszy oprzytomniał Kozioł. A że był sprytny i trzeźwo patrzył na rzeczy, wystąpił zaraz z uwagą krytyczną:

– Przecież jeżeli umarł, to nie mógł jęczeć...

– Ani ruszać się! – poparł przyjaciela Piotruś.

– Nic nie wiem, nie rozumiem – tłumaczył się Sprężycki – ale zapewniam was, że nie kłamię. Jak ojca kocham, jak Matkę Boską kocham: widziałem Wojtkę w trumnie!

Zaczęli wszyscy krzyczeć, sprzeczać się, radzić, ośmielać się nawzajem – wreszcie postanowili jednogłośnie: zawrócić i na własne oczy sprawdzić, co powiedział Sprężycki.

Trzęśli się i zębami szczękali ze strachu – jednak przemogli trwożę, odemknęli drzwi od warsztatu i do środka zajrzeli.

Nie było już żadnej wątpliwości: Wojtek naprawdę leżał w trumnie!

Trumna była duża, szeroka, czarno malowana – on leżał w niej wygodnie, jak w łóżku, łokciem wspierając się na poduszce.

Na widok kolegów poruszył się, głową im skinął przyjaźnie...

Ale ten ruch i to skinienie jeszcze bardziej ich przerażyły. Trzęśli się wszyscy jak galareta i starali umieścić się w ten sposób, żeby choć jedna noga każdego znajdowała się za progiem.

---

<sup>107</sup> *lampa olejna* – lampa, w której światło daje spalany olej lub oliwa; znana już w starożytności. [przypis edytorski]

<sup>108</sup> *pokój* – tu: spokój. [przypis edytorski]

Wreszcie Kozłowski z trudnością wykrztusił:

– Bój się Boga... Wojtek... prawdę gadaj... Umarłeś ty... czy nie?

Na to zaś głos z trumny:

– A... po co miałbym umierać! Ani mi się śniło. Czym to głupi... a?... Poczekajcie – wstanę, to wam wszystko... a... opowiem.

I siadłszy na śmiertelnej pościeli, zaczął nogę z owego trumniska wyciągać.

Tego już było za wiele. Chłopcy z błyskawiczną szybkością drapnęli do sieni, i przepychając się, przewracając, poszturchując, jak garść wystrzelonych kartaczów, wypadli na ulicę.

Każdy biegł w swoją stronę, nie oglądając się za siebie, jakby go śmierć z kosą gonila.

Spotkali się dopiero nazajutrz – w szkole.

Pierwszym kolegą, który ich tam powitał, był – Krystek.

Nie przestraszyli go się i nie uciekli przed nim. W świetle dziennym (a tego dnia słońce wyjątkowo jasno świeciło) cała rzecz przedstawiła się inaczej: naturalnie i prawie wesoło.

Wojtuś nie wyglądał ani na umarłego, ani na zmartwychwstańca. Prosto, jak zawsze, trzymał swą dużą głowę – oczy miał tylko trochę podsiniałe, a we włosach więcej niż zwykle drobnych wiórków stolarskich.

Zarzucono go krzykliwymi pytaniami. Wszyscy krzyczeli razem, tarמושąc go i szczypiąc, tak ich paliła ciekawość.

Stolarczyk przez długi czas nie mógł przyjść do słowa, powtarzając tylko swoje:

– A... a... a...

Dopiero na pauzie, gdy słuchacze przeszkadzać mu nie mogli, mając usta zapchane ciastem, serdelkami i owocami, wszystko im wytłumaczył.

Ojciec Wojtusia miał zawsze na składzie kilka trumien gotowych. Największa z nich i najszersza – tak wielka i szeroka, że dotąd jeszcze żadnego nieboszczyka nie można było do niej „dopasować” – stale służyła chłopcu za łóżko.

Wynikało to z koniecznej potrzeby. Mieszkanie państwa Krystków było bardzo szczupłe. Przy dużej izbie warsztatowej jeden mały pokój i mniejsza jeszcze kuchenka – to wszystko. A rodzina składała się z ośmiu osób.

Pokój służył za sypialnię rodzicom i pięciorgu drobnych dzieci. W warsztacie jadano, razem z czeladnikami, obiad i wieczerzę; tu również, po skończonej robocie, Wojtuś odrabiał lekcje i sypiał. A że na łóżko miejsca nie było, więc sypiał – w trumnie.

Jemu wydawało się to zupełnie naturalne i zrozumieć nie mógł, dlaczego dziwią się temu inni.

Ale było już widać przeznaczeniem Wojtusia budzić zawsze podziw wśród kolegów...

## VI. Artyści klasowi

Deszcz ze śniegiem, błoto, wiatr...

Nawet na wielką pauzę nikt z klasy nie wychodzi. Jeden tylko odważył się wybiec na dziedziniec, szukając Judkowej z obwarzankami – okazało się przecie, że i jej nawet nie ma na stanowisku.

W klasie mniej hałasu, niżby kto myślał. Wprawdzie kilku chybionych akrobatów skacze przez ławki i usiłuje chodzić na rękach, jeden gra na grzebieniu, dwóch rzuca w siebie papierowymi strzałami – większość jednak zachowuje się spokojnie i przyzwoicie.

Podzielili się na małe gromadki; każda gromadka w poważnym milczeniu przypatruje się czemuś czy komuś.

W pierwszej z brzegu gromadce uwagę kolegów skupia na sobie studencik gładko uczesany z miłą, rumianą, nadzwyczaj spokojną i prawdziwie wypogodzoną twarzą – wypisujący w kajecie ozdobnymi literami tytuł: **Zagadnienie VI-te.**

Jest to Welinowicz, pierwszy w klasie kaligraf<sup>109</sup> – o którym Łypaczewski, nauczyciel kaligrafii, wyrzekł:

– Welinowicza czeka wielka przyszłość. Jeśli nauczy się w dużym B dolny brzusek czynić wypuklejszym od górnego, może z czasem zająć tam, dokąd ja zaszedłem!

Marzeniem jest kolegów Welinowicza posiadać kajety z „wysztychowanymi” przez niego tytułami. Proszą go o to, jak o łaskę największą. Gdyby chciał swój talent sprzedawać, mógłby zjadać codziennie po tuzinie bułek z zimną pieczenią, po garncu jabłek, gruszek lub śliwek.

Ale on „iskrą Bożą” nie kupczy<sup>110</sup>, swe mistrzowskie, nadzwyczajnymi „fleglasami” i „wykrętami” zdobne inicjały wypisuje wyłącznie – przyjaciołom. Toteż wszyscy starają się przyjaźń Welinowicza zdobyć i utrzymać.

Drugie jest trudniejsze jeszcze niż pierwsze. Doświadczył tego na sobie Sprężycki. Jeden z jego najpiękniejszych kajetów w turkusowo-niebieskiej „morowej<sup>111</sup>” okładce, przekładany kolorową bibułą, wychuchany, wycackany, nosił na pierwszej karcie taki zadziwiający tytuł:

*ĆWICZ..... Witolda Sprężyckiego.*

Słowo „ćwicz” było wypisane, a raczej wyrysowane i wymalowane tak pięknie, jakby je wyjęto ze wzorów kaligraficznych i rysunkowych. Umieszczone pod nim imię i nazwisko wyglądały nieco skromniej, jednak swym świetnym, perłowym, tuszowo-czarnym „rondem” „ujawniały również rękę – artysty.

Dlaczego Witold Sprężycki miał być „ćwiczony<sup>112</sup>”? Od kogo pochodził rozkaz w tak surowej, a zarazem tak estetycznej formie wydany?

Wszystko to odnosiło się do pewnego pamiętnego dnia, w którym Sprężycki i Welinowicz, doówczas przyjaciele najserdeczniejsi, poróżnili się ze sobą.

Welinowicz był zajęty właśnie wykonywaniem wspaniałego nagłówka na „Ćwiczeniach polskich” kolegi, i po wysztychowaniu rondem jego nazwiska, kończył piątą literę tytułu – gdy Sprężycki odezwał się nagle, ni stąd, ni zowąd:

– Mickiewicz miewał z kaligrafii same dwójki...

„Artysta”, całkowicie pochłonięty swą pracą, mruknął tylko przez zęby:

– Nie wierzę...

Zapalczywszy od niego kolega Bellon zawołał:

---

<sup>109</sup> kaligraf – osoba biegła w kaligrafii, sztuce pięknego i wyraźnego pisania. [przypis edytorski]

<sup>110</sup> kupczyć – czynić przedmiotem handlu rzeczy, które nie powinny być źródłem materialnego zysku. [przypis edytorski]

<sup>111</sup> morowy – tu: zrobiony z mory, tkaniny o falisto mieniącym się wzorze. [przypis edytorski]

<sup>112</sup> ćwiczony (daw.) – bity, chłostany. [przypis edytorski]

- Bajki! Geniusz musi wszystko robić, a więc i pisać – genialnie!
- Jednak upewniam cię – ciągnął tamten – że Mickiewicz pisał „jak kura pazurem”...

Welinowicz odjął pióro od papieru.

- W takim razie Mickiewicz nie był geniuszem – stanowczo oświadczył.

I zabrał się na powrót do wykończenia swego przepięknego Z.

Sprężycki aż podskoczył z oburzenia.

- Co ty będziesz ubliżał Mickiewiczowi! Ty... „czwarty od końca”!...

Ostatnie wyrażenie odnosiło się do tego, że Welinowicz był czterdziestym trzecim uczniem w klasie, która liczyła wszystkich uczniów czterdziestu sześciu.

Artysta nie był obraźliwy – poprzestał tylko na uwadze:

- Z kaligrafii jestem pierwszy.

– To i cóż! – krzyczał tamten, nie mogąc się uspokoić. – Do kaligrafii nie trzeba wielkiego rozumu! Wszyscy znakomici ludzie pisali brzydko! Za to każdy kancelista „sztychuje” jak sam Łypaczewski!

W gromadce odezwały się śmiechy złośliwe...

Welinowicz przestał rysować. Otarł starannie pióro kawałkiem irchy<sup>113</sup>, który nosił zawsze przy sobie, schował do kieszeni flaszeczkę z czerwonym atramentem, wstał i odszedł – pozostawiając na ławce kajet z niedokończonym tytułem.

Wszystko to zostało spełnione z pogodnym spokojem i imponującą powagą. Koledzy milczeli, nie wiedząc jak się zachować...

Sprężycki pobiegł za przyjacielem, przepaszając, zapewniając, że nie miał bynajmniej zamiaru ubliżyć... Tamten odpowiedział spokojnie, że wcale się nie gniewa, ale... już mu kajetów „opisywać” nie będzie.

Słowa dotrzymał. Żadne późniejsze prośby, umizgi, podarki nie pomogły. Nieszczęsne „Ćwiczenia” pozostać miały na zawsze już z dwuznacznym na pierwszej karcie napisem: „Ćwicz... Witolda Sprężyckiego”.

Druga gromadka skupiła się przy koledze rysującym. Ten budzi większy jeszcze zachwyt, połączony z szacunkiem. Niebieskie mundurki, choć cisną się przejęte ciekawością, czynią to bardzo ostrożnie, aby pracującemu nie przeszkadzać, aby go, broń Boże, nie „trącić”...

Każdy trzyma i podsuwa artyście papier i ołówek, każdy pragnąłby pozyskać choćby mały szkic jego ręki genialnej. Niektórzy przynieśli przygotowane umyślnie w tym celu zeszyty z przytwierdzonymi na jedwabnych wstążeczkach ćwiartkami różnokolorowej bibułki angielskiej.

Ze wszystkich stron słychać nieśmiałe, zająkliwe prośby:

- Wyrysuj mi, kochany Konopko, myśliwego!

- A mnie, mój złociutki – charta!

- A mnie, mój brylantowy – zająca!

Konopka, tęgi, pleczysty wieśniak, nieustannie poświstujący lub podśpiewujący pod nosem melodię znanej piosenki: **”Pojedziemy na łów, na łów”**... spełnia ohotnie wszystkie pragnienia. Wyciąga rękę to na prawo, to na lewo, bierze najbliższy papier, zarysowuje go, oddaje, sięga po następny i zaspakaja kolejno każdego kolegę. Po chwili, ten już ma zająca, ten charta, ten myśliwego – wszyscy są zachwyceni – wszyscy też wielbią go, kochają i szanują.

Na nieszczęście urok sympatycznego chłopca słabiej oddziaływa na nauczycieli i wskutek tego na liście klasowej Konopka bardzo blisko sąsiaduje z Welinowiczem. Poza tym, dwaj ci artyści trzymają się z dala od siebie i jeden drugiemu okazuje lekceważenie.

– Cóż to jest kaligrafia! – szdyzi rysownik, wargę dolną wysuwając. – Możesz z tym co najwyżej „zajechać” do biura powiatu na „wolnonajemnego” z pensją stu złotych na kwartał!

Kaligraf, uśmiechając się pogodnie, dowodzi:

---

<sup>113</sup> ircha – rodzaj zamszu. [przypis edytorski]

– Kaligrafia jest podstawą wszystkiego. Na kaligrafii świat stoi. Weźcie któregokolwiek z rysowników, a nie potrafi napisać pięknie nawet dużego A, choć to najłatwiejsza litera w alfabecie. Tymczasem każdy dobry kaligraf, gdy zechce, będzie doskonale piórem rysował...

Aby słowa poprzeć czynem, bierze arkusz papieru i jednym posuwistym „cugiem”, pióra od papieru nie odejmując, wypisuje prześlicznego aniołka w chmurach, z kędzierzawą główką, z rozpostartymi szeroko skrzydłami!...

Koledzy wykrzykują na różne tony: „a!...” „aa!...” „aaa!...”

Konopka zaś z rękoma w kieszeniach, z twarzą zwróconą do okna, poświstuje: „Pojedziemy na łów, na łów, towarzyszu mój”...

Jednak sfera pomysłów tego pewnego siebie Konopki nie jest zbyt rozległa. Zając, pies, myśliwy – to wszystko, na co zdobyć się potrafi. Jedynym urozmaiceniem jego „dzieł” są kombinacje tych trzech motywów. Czasem myśliwy idzie w pole szukać zająca, a zając tuż za jego plecami wesoło sobie skacze; to znów pies i zając biegną w przeciwnie strony, a myśliwy stoi pośrodku, broń oparł o drzewo i spokojnie pociąga sobie z opłatanej butelki; to wreszcie pies stoi wyprężony i gotowy do skoku, a myśliwy strzela do zająca kulą – przy czym widać tę kulę wylatującą z lufy i zmierzającą po linii matematycznie prostej (artysta wykreślił ją przy ekierce) w biednego szaraka...

Klasa posiada innych jeszcze artystów, w rodzaju niższym cokolwiek, ale za to – praktyczniejszym.

Są to nie tyle artyści, co majsterkowie, w swojej drobnej specjalności niezrównani i niezastąpieni.

Trudno na przykład wyobrazić sobie, co by niebieskie mundurki poczęły i jak by sobie radziły bez kolegi „Hefajstosa<sup>114</sup>” – tak przezwanego stąd, że jest na podobieństwo bożka owego kulawy.

Los, upośledzając go pod względem nóg, wynagrodził go za to zwiększoną zręcznością ręki. Nikt w klasie nie dorównywa Hefajstosowi w talencie – „temperowania” piór.

W szkole P-skiej stalówki znajdują się pod kłatwą – uczniowie są obowiązani pisać wyłącznie piórami gęsimi.

– Strzeżcie się piór stalowych! – powtarza przy każdej sposobności nauczyciel kaligrafii. – One psują rękę i charakter!

Ostrzeżenie groźne... – na szczęście nauczyciel ma na myśli tylko tak zwany „charakter pisma”, czyli samo pismo.

Ponieważ gęsi nie noszą w skrzydłach piór gotowych do pisania, trzeba zatem te pióra przed użyciem poddać operacji, która się zowie „temperowanie”. Mozolna to czynność i wymagająca specjalnego uzdolnienia.

Każdy wprawdzie, kto posiada dobrze wyostrzony scyzoryk i jakie takie pojęcie o narzędziach do pisania, potrafi zastrugać sobie pióro w ten sposób, że umaczane w czernidle<sup>115</sup>, będzie cieńsze i grubsze kreski na papierze zostawiało – takie jednak pióro służyć może tylko do pospolitszej, brulionowej roboty. Pisać takim piórem „na czysto”, a tym bardziej ozdobnie „kaligrafować” niepodobna.

Hefajstos do zatemperowania jednego pióra używa aż trzech ostrz. Największym, umiarkowanie ostrym, nadaje zwykłemu pióru ogólny, jakby szkicowy kształt pióra do pisania. Średnim, bardzo ostrym, rozcina je częściowo w kierunku długości. Najmniejsze, a zarazem najostrzejsze, służy mu do przycinania „noska”.

Czynność ostatnia jest w równym stopniu trudna i ważna. Od przyciętego tak lub inaczej „noska” zależy: czy pióro ma służyć do cieńszego lub grubszego pisma, do liter pochyłych, „angielskich”, czy też do prostego, okrągłego „ronda”. W ogóle „nosek” stanowi o całej wartości pióra.

---

<sup>114</sup> *Hefajstos* (mit. gr.) – bóg ognia i kowalstwa, opiekun rękodzielników; kulawy syn Zeusa i Hery; mąż Afrodyty i Charis, wyobrażany z młotem lub obcęgami w rękach; w mit. rzym. Wulkan. Hefajstos był kulawy, ponieważ kiedyś został zrzucony przez Herę lub Zeusa z Olimpu na wyspę Lemnos i złamał nogę. [przypis edytorski]

<sup>115</sup> *czernidło* (daw.) – atrament. [przypis edytorski]

Nie można przycinać noska na żadnej sztucznej podkładce. Służy do tego wyłącznie paznokieć wielkiego palca osoby temperującej. Ten paznokieć u Hefajstosa jest zawsze pokryty mnóstwem mniej lub więcej głębokich nacięć i skaleczeń.

Hefajstos nie pracuje wyłącznie dla idei jak Welinowicz i Konopka. Za zdolność swą i usługi każe sobie płacić. Honorarium pobiera stałe: od każdego zatemperowanego pióra – bułka.

Pracuje zwykle podczas wielkiej pauzy, zasiadłszy na wierzchu ławki, przy oknie, otoczony gromadką „klientów” i ciekawych. Zarobione bułki – a zdobywa ich na jednym posiedzeniu pięć, sześć, aż do dziesięciu – chowa do teki, następnie zjada wszystkie do ostatniego okrucha.

Żarłoczność Hefajstosa jest zdumiewająca. Potrafi jeść w każdej porze i wszystko, co mu dadzą. Wygląda zaś jak głodomór. Twarz ma szeroką, kościstą, policzki zapadnięte, usta rażąco szerokie, niedomykające się, z których wyzierają duże, ostre zęby.

Prócz zwykłego temperowania, podejmuje się jeszcze ten majsterek robót wyjątkowych, takich jak „woskowanie” piór i ich „hamburyzowanie”. Te roboty wykonywa<sup>116</sup> u siebie w domu – przy pomocy sobie tylko znanych i trzymany w tajemnicy sposobów. Pobiera za nie zapłatę wysoką, dochodzącą do całej kwarty<sup>117</sup> ulegałek<sup>118</sup> lub do trzech groszy w gotówce za sztukę. To też na ten zbytek pozwalać sobie mogą tylko bogatsi i najwybredniejsi.

Tu objaśnić trzeba, że pióra „woskowane” odznaczają się przedziwną miękkością, a zarazem sprężystością, pozwalającą na wykonywanie najsztudniejszych kaligraficznych „cugów”. Niezrównaną zaś zaletę pióra „hamburyzowanego” stanowi to, że atrament nigdy z niego nie spływa.

Hefajstos zdobywa sobie względy nauczycieli dostarczaniem na katedrę<sup>119</sup> – bezinteresownie rozumie się – piór, doskonale temperowanych, woskowanych i „hamburyzowanych”.

Zupełnie odrębną kategorię artystów klasowych przedstawia Olszewski, przewany, nie wiadomo dlaczego, kataryniarzem.

Olszewski-kataryniarz, chłopiec pod innymi względami upośledzony, *asinus asinorum*<sup>120</sup>, potrzebujący sześciu lat na przecięnięcie się przez pierwsze dwie klasy – jest najlepszym na całą szkołę i w specjalności swej niezrównanym „piłkarzem”.

„Piłkarz” w gwarze szkolnej oznacza człowieka wyrabiającego piłki do grania.

W miasteczku nie ma ani jednego sklepu, w którym można by kupić piłkę gotową. A ponieważ zapotrzebowań na tę rzecz jest bardzo wiele i każdy z niebieskich mundurków, których liczba do 350 dochodzi, prędzej by się obył bez jedzenia, niż bez piłki, więc uczniowie własnym przemysłem i własnymi rękoma ten przedmiot niezbędny przygotowują.

Wszystkich jednak prześcignął na tym polu Olszewski. Ten rudy, piegowaty chłopiec, z dużym zakrzywionym nosem, prowadzi jakby fabrykę piłek, którymi handluje z całą szkołą. Rzec można, że zmonopolizował w swych rękach cały handel piłkowy. Mówią też, że zarabia na tym dużo pieniędzy, które wydaje następnie na jedyną namiętność swoją: hodowlę gołębi.

O piłkach używanych w szkole P-skiej można by książkę napisać. Istnieje pięć głównych typowych ich odmian: **parcianka**, wyrabiana z wyprutej ze starych pończoch bawełny; przeplata się ją wąską krajką<sup>121</sup> i oszywa grubym zgrzebnym płótnem; **krowianka**, z sierści krowiej przygotowana w ten sposób, że kawałek wosku umieszcza się na grzbiecie krowy, a potem dłonią kręci się go, czyli „kulga” dopóty, aż do wosku przylgnie tyle włosów, że utworzą piłkę, (czynność połączona z niebezpieczeństwem, gdy się natrafi na krowę „ligającą<sup>122</sup>”); **zwijanka** vel **skrętka**, wyrabiana

---

<sup>116</sup> wykonywa – dziś popr. forma 3os. lp cz.ter.: wykonuje. [przypis edytorski]

<sup>117</sup> kwarta – dawna miara ciał płynnych i sypkich, około 1 litra; też: naczynie o takiej pojemności. [przypis edytorski]

<sup>118</sup> ulegałka – dzikie gruszki, drobne i zielone, nadają się do jedzenia dopiero, kiedy zaczynają ulegać się, czyli gnić. [przypis edytorski]

<sup>119</sup> katedra – tu: podwyższenie, na którym stoi stół dla nauczyciela; biurko nauczycielskie. [przypis edytorski]

<sup>120</sup> *asinus asinorum* (łac.) – osioł nad osłami. [przypis edytorski]

<sup>121</sup> krajka – wzmocniony brzeg tkaniny lub dzianiny, taśma. [przypis edytorski]

<sup>122</sup> ligać (gw.) – wierząć, kopać. [przypis edytorski]

ze starych gumowych czyli „gumulastycznych” kaloszy, które tnie się na długie, jak najcieńsze paski, te zaś paski zwija się następnie w kłębek; rzeczą główną jest skrócenie pasków tak mocno, żeby piłka tworzyła całość prawie jednolitą; **dętka czarna**, (odróżnić ją należy od **dętki białej**, będącej u uczniów w pogardzie i pozostawionej wyłącznie dziewczynom), mająca za podstawę także gumę kaloszową, przerabianą jednak odpowiednio rękami fabrykanta – na masę plastyczną; **lanka**, rodzaj najwyższy, przez poważnych jedynie graczy używany; dla przygotowania jej krają kalosze na drobniutkie kawałeczki, gotują w ukropie i gorące jeszcze zlepiają i zaokrąglają za pomocą kręcenia pomiędzy dłońmi – przy czym trzeba być zawczasu przygotowanym na bolesne oparzenia skóry, na bąble i rany.

Produktem pobocznym, przy fabrykowaniu piłek gumowych otrzymywanym, jest tak zwana „guma strzelająca”. Piękna to rzecz i przez znawców wysoko ceniona. Ale jak trudne, mozolne i... wstrętne jest jej przygotowanie!

Kataryniarz, który usadowił się na ostatniej ławce wśród mało inteligentnego towarzystwa „zjadaczy chleba” (w dosłownym tych słów znaczeniu), po całych godzinach, podobnie jak i oni, porusza szczękami. Ale gdy ci wychowawcy wiejskich zaścianków mocnymi, zdrowymi zębami miała razowiec, on żuje – kawałek starego kalosza...

Wiele godzin, a nawet i dni poświęcić trzeba na to niemiłe żucie, aby z twardej, śliskiej, skrzypiącej wśród zębów gumy otrzymać wreszcie do czarnego ciasta podobną, która daje się w palcach ugniatać jak wosk.

Małe kulki tego ciasta kupują na wagę złota uczniowie – najmłodszy co prawda. Kupują je do zabawy. Zabawa na tym polega, że kulkę najpierw rozpląszcza się, na kształt małego naleśnika, następnie brzegi tego naleśnika zlepiają się ze sobą jak najszczelniej, z pozostawieniem w środku pustej, a właściwie: powietrzem wypełnionej przestrzeni. Ta uwięziona kulka powietrza tworzy bąbelek, który, po naciśnięciu palcem, pęka, wydając lekki trzask...

Właśnie dla owego trzasku nazywa się ta guma „strzelającą”.

Kataryniarz, którego kieszenie zawsze są wypchane parciankami, krowiankami, dętkami itp., zawsze również, dla chętnego i gotówką płacącego nabywcy, ma przygotowany, między zębami lub pod językiem – kawałek „strzelającej gumy”.

Z uznaniem dla niebieskich mundurków zaznaczyć należy, że posiadając wśród siebie czterech wymienionych „artystów”, umieją każdemu wymierzać co mu się należy.

Konopkę wielbią, Welinowicza chwala, Hefajstosa lubią, Kataryniarza zaś płacą i – w oczy mu mówią, że jest „marny geszefciarz”<sup>123</sup>...

---

<sup>123</sup> *geszefciarz* (daw., z niem. *Geschäft*: interes) – człowiek zajmujący się drobnymi interesami. [przypis edytorski]

## VII. Nauczyciel starej daty

Dzień upalny. W klasie duszno i sennie. Tuż koło okien otwartych przelatują jaskółki z ostrym, przenikliwym piskiem.

Chłopców oczy przymykają się do snu. Są jakby nieprzytomni od upału. Niektórzy na pół drzemią, kilku zupełnie zasnęło.

Co chwila ktoś wychodzi napić się wody przy pompie szkolnej. Wraca z włosami mokrymi, cały zmoczony. Nie tylko ugasił pragnienie, ale i głowę zimną wodą oblał. Inni patrzą nań z zazdrością, jednak naśladować go nie śpieszą. Obezwładniło ich lenistwo, nie pozwalające ruszyć się z miejsca.

Na katedrze<sup>124</sup> siedzi Skowroński, nauczyciel polskiego, stary, gruby, z białymi włosami naczesanymi na czoło i skronie, a z tyłu spadającymi w długich pasmach na plecy. Twarz ma zawsze wygoloną, szyję owiązaną kilkakrotnie białą chustką; olbrzymie, wysunięte spod chustki kołnierzyki, w których tłuste jego policzki – zwłaszcza gdy głowę pochyli – do połowy się kryją. W całości przypomina owe szanowne postacie z początku stulecia, których wizerunki przechowały się na starych litografiach<sup>125</sup>.

I nauczyciel odczuwa przygnębiający wpływ upału. Nie wydobył katalożka<sup>126</sup>, nie rozłożył nawet dziennika klasowego – o lekcji właściwej wcale nie myśli.

Przyniósł ze sobą książkę na szarym, bibulastym papierze, otworzył ją i czyta. Głos ma potężny, teatralny, patetyczny – taki, jakim na publicznych posiedzeniach Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk<sup>127</sup> odczytywać musieli swe utwory jego członkowie.

Silnie skandując i długie zgłoski nad miarę przeciągając, deklamuje, jakby śpiewał:

Już mdłe bydło szuka cienia  
I ciekącego strumienia,  
A **pastyrze**, chodząc za nim,  
Budzą echa swoim graniem.

Prosty, klasyczny, Wergiliuszowy<sup>128</sup> obrazek, tchnący świeżością wsi, łąki, gaju, w sposób cudowny oddziaływa na niektórych. Otwierają oczy, prostują się – każdy ma jakby przyjemne widzenie na jawie.

Zwłaszcza Sprężycki całą duszą zatonął w wierszu sielankowym. Żywy jak iskra, zawsze figlować gotowy, skłonny też bywa do marzenia i głębokich zamyśleń.

W tej chwili i obraz poetyczny i śpiewny rytm wiersza tak go ukołysały, że stracił niemal poczucie rzeczywistości.

Nie jest mu już gorąco, ani duszno; czuje na policzkach świeże, wilgotne tchnienie gaju olchowego; słyszy tęskne, przeciągłe tony ligawki<sup>129</sup>, które las powtarza echem wielokrotnym...

---

<sup>124</sup> *katedra* – tu: podwyższenie, na którym stoi stół dla nauczyciela; biurko nauczycielskie. [przypis edytorski]

<sup>125</sup> *litografia* – technika graficzna polegająca na wykonaniu rysunku tłustą kredką, farbą lub tuszem na płycie kamiennej, pokryciu go farbą drukarską i odbiciu na papierze; też: odbitka wykonana tą techniką. [przypis edytorski]

<sup>126</sup> *katalożek* – tu: notatnik nauczycielski z ocenami. [przypis edytorski]

<sup>127</sup> *Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk* – towarzystwo naukowe ogólne działające w latach 1800–1832 w Warszawie. Służyło pracą naukową polskim interesom narodowym (zwłaszcza zachowaniu polskości), rozwojowi gospodarczemu kraju; głównym ideologiem był Stanisław Staszic (uczony, działacz i pisarz polityczny i gospodarczy); po powstaniu listopadowym 1830–1831 rozwiązane przez władze rosyjskie; prace TPN kontynuowało założone w r. 1907 Towarzystwo Naukowe Warszawskie. [przypis edytorski]

<sup>128</sup> *Wergiliusz* – Publius Vergilius Maro (70–19 p.n.e.), poeta rzymski. Autor *Eneidy*, eposu narodowego Rzymian. [przypis edytorski]

<sup>129</sup> *ligawka* – ludowy instrument muzyczny dęty, zrobiony z wydrążonej gałęzi. [przypis edytorski]

Jakże przyjemny wiaterek przeciąga od chłodnego strumienia! Jak pachnie mięta wśród gęstej, puszystej, jak aksamit miękkiej i połyskującej trawy! Rozkosznie byłoby położyć się pod drzewem, patrzeć na słońce po niebie lekkie, srebrzyste obłoczki – słuchać gwizdania wilgi, przelatującej z drzewa na drzewo, liczyć listki na najbliższej gałęzi – i marzyć... marzyć...

– Sprężycki, nie śpij!...

Chłopiec prostuje się, otwiera na całą szerokość oczy. Znow jest w klasie, znow mu gorąco – znow widzi na katedrze granatowy frak, białą chustkę, czerwone, zgrzane policzki, wychylające się z nakrochmalonych kołnierzyków, jak z wielkiej, porcelanowej misy.

Nauczyciel wciąż czyta śpiewnym, teatralnym głosem z niedużej, na bibule drukowanej książeczki.

Błogosławiona, cuda czyniąca książeczka! Błogosławiony i ten, co umie tak zawładnąć myślami, tak je do swego wykładu przynęcić!

...Inna chwila – inne wrażenie.

Jesień omgłiła ulice, zmatowała szyby w klasie, napełniła ją żółtym, smutnym, jakby chorym światłem.

Wszystko wygląda osowiale, brzydko. Klasa wydaje się mniejszą i brudniejszą, niż zwykle. Na suficie widać smugi kurzu, w jednym z kątów – pajęczynę.

Chłopcy tłumią ziewanie; siedzą milcząco, bez humoru. Nawet figlować im się nie chce.

I znow na katedrze zasiadł ten sam stary nauczyciel; rozłożył też samą niewielką, na bibule drukowaną książkę – czyta...

Głos jego brzmi inaczej, niż latem. Jest tak samo jak szyby zmatowane, głuchy. Ale jak zawsze, przelewa się rytmicznie, to słabnąc, to podnosząc się, z teatralną deklamacyjnością<sup>130</sup>, która działa na młodych słuchaczy jak muzyka.

Nauczyciel czyta:

Cicho skradł się wiek sterany,  
W smutną starość pchnąwszy mnie...

Zatrzymuje się, poprawia okulary. Głowa zasuwa się głębiej w kołnierzyki: siwe włosy niżej na plecy opadają.

Płynie ze mną w kraj nieznanym —  
Żegnam was, młodości dnie!

Kładzie szeroką dłoń na książce; nie patrząc na nią, powtarza:

Żegnam was, młodości dnie!...

Sprężycki uczuwa nagle ściśnienie serca. Pełną pierś zaczerpuje powietrza, co wygląda, jakby głęboko westchnął.

Żółtawe światło, sączące się oknami, głucha cisza na korytarzach, smutna, niby rozjęczona deklamacja nauczyciela – wszystko na wrażliwego chłopca działa przygnębiająco.

A z katedry płynie głos coraz żałośniejszy i jakby stopniowo gasnący:

Kiedy oczy śmierć zaciemni,  
Lnianej płachty będzie dość...

---

<sup>130</sup> deklamacja – wygłaszanie utworu literackiego wyraziście i z ekspresją. [przypis edytorski]

W czterech deskach... w sążniu<sup>131</sup> ziemi...  
Dobrze się ten wyśpi gość...

Znów dłoń szeroka zakrywa kartę – głos nauczyciela, zmieniony w echo, powtarza lękliwie: „W czterech deskach... w sążniu ziemi”...

Sprężycki sięgnął machinalnie po chustkę – oczy ociera. Jest niewątpliwie najwrażliwszym z kolegów – wszakże i inni odczuli tchnienie smutku, wypełniające izbę szkolną. To tchnienie, pod którego działaniem nawet najweselsi posepnieją, wydobywa się w równym stopniu z dnia jesiennego, z wiersza, z głosu starego nauczyciela, z jego całej niedzisiejszej, niby mgłą oddalenia przesnutej osoby...

Wiersz utkwiał chłopcu w pamięci. Wracając do domu, w myśli go sobie powtarza. Znajduje się tak całkowicie pod wpływem elegijnej<sup>132</sup> poezji, że wraca umyślnie zaułkami, aby mu koledzy śmiechem niewczesnym nastroju duszy nie psuli.

Wieczorem, zanudza domowników strofami: „Cicho skradł się wiek sterany”... „Kiedy oczy śmierć zaciemni”... – przy czym stara się naśladować najwierniej jęczący głos i teatralną wymowę nauczyciela. Zauważa przy tym, że jego deklamacja wzrusza silnie matkę, która prosi go, żeby „dał pokój<sup>133</sup> tym strasznym wierszom”, i która potem odkłada robotę, twarz ukrywa w dłoniach i siedzi długo w milczącej zadumie...

Napełnia go to dziwnym, obcym mu dotąd uczuciem: zaczyna poznawać potęgę słowa. Z szacunkiem myśli o poezji i o swym starym nauczycielu.

Ale i ta poezja i ten nauczyciel niepokoją go swą nadzwyczajną nieprzystępnością. Nie ma sposobu zbliżenia się do nich...

Nieprzystępny jest zwłaszcza nauczyciel. Inni, choć otoczeni powagą, choć po jowiszowemu brwi ściągający, choć zamieszkali na wyżynach, oku chłopięcemu ledwie widnych, zstępują jednak niekiedy na ziemię, przemawiają, żartują, gotowi są nawet figlować, jak zwykli ludzie. Jeden Skowroński występuje zawsze w roli półboga.

Gdy wyklada, nie patrzy na uczniów. Ciężkie, głośnie, starannie odmierzone słowa rzuca w przestrzeń. Nawet, gdy uczeń wydający<sup>134</sup> lekcję stoi tuż przed nim, nie widzi go, nie chce widzieć. Oczy jego ponad głową chłopca wybiegają daleko, wysoko...

Jednak o oschłość serca posądzać go nie można. Miewa czasem łzy w oczach – wówczas, gdy wiersze elegijne wygłasza. Uczniów swych kocha, wypożycza im książki ze swej biblioteki, ćwiczenia ich nadzwyczaj starannie poprawia, na marginesach wypisuje upomnienia nie tylko stylistyczne, lecz moralne i obywatelskie.

Ale bardziej, niż uczniów, kocha przedmiot, który wyklada. Żyje też raczej przeszłością, niż dniem obecnym.

Przedmiotem najgorętszych jego umiłowań literackich jest wiek osiemnasty i pierwsze lata dziewiętnastego. Najwymowniej chwala, najczęściej cytuje poetów, w tych dwóch okresach żyjących.

Krasicki<sup>135</sup>, Naruszewicz<sup>136</sup>, Książnin<sup>137</sup>, Karpiński<sup>138</sup>, Osiński<sup>139</sup>, Dmochowski<sup>140</sup> – to jego bożyszczka.

---

<sup>131</sup> sążeń (daw.) – jednostka długości, równa szerokości rozpostartych ramion dorosłego mężczyzny, tj. niecałe 2 m. [przypis edytorski]

<sup>132</sup> elegijny – związany z elegią, utworem lirycznym o tematyce żałobnej, pożegnalnej. [przypis edytorski]

<sup>133</sup> pokój – tu: spokój. [przypis edytorski]

<sup>134</sup> wydający – odpowiadający. [przypis edytorski]

<sup>135</sup> Ignacy Krasicki herbu Rogala (1735–1801) – poeta i powieściopisarz, najwybitniejszy pisarz polskiego oświecenia (nazywany „księciem poetów polskich”); biskup warmiński, arcybiskup gnieźnieński. [przypis edytorski]

<sup>136</sup> Adam Stanisław Naruszewicz herbu Wadwicz (1733–1796) – poeta, publicysta, historyk, jezuita, biskup smoleński i łucki; współpracownik i nadworny poeta króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. [przypis edytorski]

Każdy poeta nosi u niego pewien stały tytuł. Krasicki to „książę poetów”; Naruszewicz – „poeta-dziejopis”; Karpiński – „poeta serca” albo „śpiewak Justyny”; Dmochowski – „polski Boileau<sup>141</sup>”.

Uczniowie muszą znać te przezwiska. Gdy który się pomyli, gdy nazwie, broń Boże, „poetę serca” Naruszewicza, a „śpiewakiem Justyny” Krasickiego – stary nauczyciel pieni się z gniewu.

Cokolwiek bądź, na lekcjach języka polskiego panuje zawsze nastrój poważny. Z wyjątkiem kilku „głębów”, zajętych żuciem razowca lub gumulastyki, wszyscy inni przejmują się żywo wykładem, uczą ochotnie zadanych wierszów<sup>142</sup>, wygłaszając je nie tylko w klasie, lecz i na zebraniach koleżeńskich, na „ekskursjach<sup>143</sup>”, na „majówkach” – prowadzą nawet niekiedy spory o wyższość „poety serca” nad „księciem poetów” lub odwrotnie.

Sprężyckiego pociągają najbardziej wiersze żartobliwe oraz rzewne, liryczne. Umie na pamięć całe strofy z *Myszeidy*<sup>144</sup>, umie cały *Powrót na wieś*<sup>145</sup>, cały *Pacierz staruszka*<sup>146</sup>.

Cienkim, prawie dziewczęcym głosem, ale z wielkim zapałem i przejęciem się deklamuje:

Gończe złotego słońca! różana jutrenko!  
Jużeś to w chatki mojej zajrzała okienko?  
O, jak ślicznie z twej twarzy promień bije czysty  
Przez te młode gałązki leszczyny krzewistej!...

Pochyla drobną postać, jakby ciężarem lat przygiętą – głos mu drży, słabnie...

Kiju mój! ty, starości mej wierna podporo !  
Prowadź mnie... już bez ciebie w tym wieku niesporo.

---

<sup>137</sup> *Franciszek Dionizy Kniaźnin* (1749 a. 1750–1807) – poeta oświeceniowy. Pisał wiersze patriotyczne, religijne, ody, sielanki, erotyki, bajki i dramaty. [przypis edytorski]

<sup>138</sup> *Franciszek Karpiński herbu Korab* (1741–1825) – polski poeta epoki oświecenia, twórca i główny przedstawiciel nurtu sentymentalnego w polskiej liryce. [przypis edytorski]

<sup>139</sup> *Ludwik Osiński* (1775–1838) – pisarz i krytyk literacki, dyrektor Teatru Narodowego w Warszawie, profesor literatury na Uniwersytecie Warszawskim; wybitny przedstawiciel klasycyzmu postanisławowskiego; przetłumaczył na język polski wiele utworów scenicznych. [przypis edytorski]

<sup>140</sup> *Franciszek Ksawery Dmochowski* (1762–1808) – poeta, krytyk literacki i publicysta; działacz tzw. jakobinów polskich w powstaniu kościuszkowskim 1794 r.; sekretarz Towarzystwa Przyjaciół Nauk; autor *Sztuki rymotwórczej* (adaptacji poematu N. Boileau), pierwszy polski tłumacz *Iliady*, współautor *O ustanowieniu i upadku Konstytucji 3 Maja*. [przypis edytorski]

<sup>141</sup> *Nicolas Boileau* (1636–1711) – francuski poeta klasycystyczny. [przypis edytorski]

<sup>142</sup> *wierszów* – dziś popr. forma D. lm: wierszy. [przypis edytorski]

<sup>143</sup> *ekskursja* (z łac. a. z ros.) – wycieczka, wyprawa. [przypis edytorski]

<sup>144</sup> *Myszeida* – poemat heroikomiczny Ignacego Krasickiego o wojnie kotów z wojskami szczurzo-mysimi, z udziałem ludzi (Popiel i jego córka Duchna stoją po stronie kotów); *poemat heroikomiczny* – utwór literacki, opierający się na połączeniu podniosłego stylu wypowiedzi z błahą, przyziemną tematyką, co tworzy efekt komiczny. [przypis edytorski]

<sup>145</sup> *Powrót na wieś* – wiersz Franciszka Karpińskiego. [przypis edytorski]

<sup>146</sup> *Pacierz staruszka* – wiersz Adama Naruszewicza. [przypis edytorski]

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.